Rok II. Nr. 6. Kraków, 15. marca 1920 r. Cena egz. 3·50 K. (mr. 2·50)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 20·— (mrk. 14·—), półrocznie K. 38·— (mrk. 27·—), rocznie K. 75·— (mrk. 53·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Karmelicka 16.
Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Administracya — Kraków, Karmelicka 16.

Czech tryumfator.



TAK PANE KOMISAŻ OD ENTANTY — BUDTE SAKRA NEUTRO-SPRVĚDLIVY PAK UŽ TO JESTEŠTE — A ŚLOUSKO TESZENSKĚ BUDE ČESKE, MY TO UŻ V SPOLKU UDIELAMY!

Na Śląsku Cieszyńskim leje się krew... Codziennie prawie donosi prasa polska o nowych zbrodniach zbirów czeskich, dokonywanych już w oczach komisyi koalicyjnej przez rozwydrzonych bandytów z nad Wełtawy. Czech chwilowo tryumfuje, ale nie na długo. Nie na darmo przysięgał lud śląski na Rynku krakowskim, że nie odda ziemi ukochanej nawet za cenę własnego życia. I wiemy, że przysięgi tej dotrzyma!

Od Administracyi.

Z dniem 1 kwietnia 1920 r. zmuszone jest Wydawnictwo „Życie i powieść“ ustalić nowe ceny prenumeraty i pojedynczych egzemplarzy. Skutkiem relacyi korony do marki podskoczyły już i tak szalenie wysokie ceny papieru, druku i robocizny, tak, że wszystkie małopolskie wydawnictwa zmuszone były już w zeszłym miesiącu podwyższyć abonament.

Nowe ceny „Życia i powieści“ przedstawiają się następująco:

Prenumerata kwartalna 20 Mr (28 K 50 h), półroczna 38 Mr (54 K), roczna 75 Mr (107 K).

Cena egzemplarza pojed. 3 M 50 h (5 koron).

Każdy z Czytelników może otrzymać początki powieści zawarte w 12 numerach (oryginalne egzemplarze) za opłatą 30 K (21 Mr).

Od Redakcyi.

Odpowiedzi grafologa (tylko dla prenumeratorów, którzy nadeślą prenumeratę za czas od 1 stycznia do końca grudnia b. r.) zamieścimy w numerze następnym. Pierwszą tablicę grafologiczną zamieścimy w Nrze 5, następne zamieścimy w najbliższych numerach. Przypominamy, że na listach należy uwidocznić na kopercie: „dla grafologa“ i nie załatwiać w nich żadnych innych spraw ani administracyjnych, ani redakcyjnych. List powinien być zaopatrzony pseudonimem.

W następnym numerze ogłosimy nazwisko szczęśliwego zdobywcy **nagrody w loteryi „Życia i powieści“.**

Każdy z czytelników, który zjedna conajmniej 10-ciu prenumeratorów rocznych „Życia i powieści“, otrzyma bezpłatnie „Życie i powieść“ na cały rok bieżący.

„Nie damy ziemi...“

Hej! czy tam usłyszą
Panowie z Paryża,
Co mówili chłopcy
Z pod Orawy, Spiża?

Hej! czyli też wiedzą
Panowie w Londynie,
Co myślą Ślązacy
W Karwinie, w Cieszynie!

„Nie oddamy ziemi!“...
Tłum zaśpiewał cały,
A z wieży Maryackiej
Grały mu hejnały.

I ze sztandarami
Stanęli w ordynku
W jasnem słońca świetle
Na krakowskim Rynku.

Rozwiał wiatr szeroko
Dziewcząt śląskich wstęgi
Powtórzyli chórem
Te słowa przysięgi:

„Nim oczy nie zgasną,
Usta nie oniemią,
To nie będą obcy
Rządzić naszą ziemią!...

„Dopóki na Śląsku
Srebrna Olza płynie
Nie panosz się Czechu
Na polskiej dziedzinie“.

M. M.

Na carskim obiedzie.

Generał A. A. Noskow wydał w Paryżu swe wspomnienia p. t. „Nicolaus II. incounu“, w którym znajdujemy wiele ciekawych szczegółów o głównej kwaterze rosyjskiej i o ostatnim z Romanowów w przededniu rewolucyi.

Wyjmujemy z tej książki ustęp w sposób barwny, przedstawiający wizytę głośnego socyalisty Alberta Thomasa, złożonej carowi w jego „stawce“ w r. 1916.

Dowiedziawszy się, że cesarz zaprosił p. Thomasa na obiad, sądziłem, że ten odmówi pod jakimkolwiek pretekstem. Ten jednak wzniósł się ponad przesądy i nic sobie nie robiąc z drwin i wyrzutów, odpowiedział uprzejmie na galanteryę carską. Przyszedł na obiad wraz z innemi zaproszonemi i jak wszyscy inni oczekiwał w sali „pałacowej“ na wejście cesarza.

Car zawarł już z p. Thomas znajomość poprzednio. Wiedziano również, iż cesarz, odnalazłszy w oryginalnej postaci posła wielkie podobieństwo do klasycznego typu Rosyanina starej daty, nazywał go zwykle „Toma“, imię, które w Rosyi służy na oznaczenie człowieka spokojnego i dobrodusznego. I rzeczywiście, kiedy p. Thomas wszedł na salę, trudno było uwierzyć, że nie jest on Rosyaninem, tak był podobny do średniego kupca moskiewskiego. Miał na sobie surdut czarny, trochę za długi, nosił długie włosy, brodę nieco rozwichrzoną. Jeśli się zważy, że p. Thomas niema rysów galijskich, wszystko w jego postaci przeczyło temu wyobrażeniu, jakie się ma o Francuzach.

Wszedłszy na salę p. Thomas, powitał zebranych skinieniem głowy, niektórym uścisnął dłoń, nie przywitał się jednak z hr. Frederiksem, ministrem dworu, który stał koło drzwi gabinetu carskiego. P. Thomas stanął koło pianina, blisko gabinetu cesarskiego, w miejscu, które zazwyczaj przeznaczono dla gości wyszczególnionych.

Marszałek dworu, z planem w ręku, podszedł doń, aby mu wyznaczyć jego miejsce przy stole, jak też i to, które powinien zająć, oczekując nadejścia cara. Nie wiem, czy to sprawił wygląd posła socyalistycznego, dość, że marszałek nie miał odwagi poprosić go o przejście na inne miejsce. Tak więc p. Thomas oczekiwał cara w miejscu, które sam sobie wybrał, na przekór wszelkiej etykiecie.

— Oto, co znaczy być socyalistą zagranicznym — rzekł ktoś koło mnie. — Sami marszałkowie dworu boją się go.

Śledziłem wszystkie ruchy p. Thomas. Przymusowe oczekiwanie nie podobało mu się i okiem badawczem przyglądał się obecnym, mając minę niezadowoloną. Nakoniec car wszedł. Przedewszystkiem poszukał oczyma p. Thomas. Uważając go za bohatera dnia, car przeszedł szybko dokoła gości, jakby się spieszył coprędzej uścisnąć dłoń wyszczególnionego cudzoziemca. Zbliżywszy się do niego, zatrzymał się na kilka minut rozmowy, jakby jeszcze chciał podkreślić znaczenie w swym „pałacu“ tego niezwykłego gościa. Następnie cesarz i wszyscy zaproszeni skierowali się do sali jadalnej.

Przy przekąskach [1]) p. Thomas trzymał się na uboczu. Gdy zaś wszyscy zajęli miejsca przy stole, rozegrała się scena tak niecodzienna, że szkoda, że nie było aparatu fotograficznego. Oto p. Albert Thomas, socyalistyczny poseł do Izby francuskiej, ów „Toma“, jak go każdy po cichu nazywał, usiadł po lewej ręce cara.

Po chwili zauważyliśmy, że zły humor p. Thomasa znikał w miarę rozmowy z cesarzem. Ci dwaj bowiem ludzie, których umysły były tak biegunowo sprzeczne, rozmawiali ze sobą z żywością, pełną przyjaźni. Siedziałem dość daleko i nie mogłem pochwycić wątku rozmowy, ale to, co widziałem, że car, który miał uprzedzenie, jeśli nie gwałtowną antypatyę do socyalistów, nader łaskawie zwracał się do nowego gościa. Było widoczne, iż nie była to tylko dworska uprzejmość, ale niekłamany sentyment. P. Thomas zaś nie był ani trochę zmieszany. Dwie istoty ludzkie połączyły się przy tym stole dla wspólnej wymiany myśli.

---

[1]) Przekąski w Rosyi są podawane na małym stoliku i spożywa się je, stojąc, z talerzykiem w ręku. Stół dobrze zastawiony ma nieraz do sześćdziesięciu różnych dań.

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

12 (Dalszy ciąg).

Wstrzymali konie nad małem jeziorkiem i przez długą chwilę przypatrywali się śnieżnie białym ptakom. Potem Daisy rzekła z uśmiechem:

— Panie Tomie, jak się panu podoba moja odznaka? nawet jej pan nie zauważył.

— Ależ owszem, właśnie się zastanawiałem, do jakiego związku sufrażystek pani przystąpiła?

Śmiejąc się odczepiła czerwoną wstążkę od żakietu i podała mu.

Ze zdziwieniem popatrzył Traddleton na brudny, czerwony gałganek. Potem nagle twarz jego spoważniała, oczy błysnęły i rzekł szybko:

— Jedźmy!... Musimy poszukać jakiegoś miejsca, gdziebyśmy swobodnie porozmawiać mogli!...

W godzinę później Reginald Grey został telefonicznie przez Toma wezwany. Detektyw prosił go, aby natychmiast przyszedł do klubu, bo chce z nim pomówić w ważnej sprawie.

— Dobrze, że pan jesteś! — zawołał Traddleton, gdy się z Reginaldem spotkali w palarni klubowej — nie mamy czasu do stracenia!... Musimy automobilem pojechać za miasto, a przytem mam tutaj pewien mały przedmiot, który jest pańską własnością i który panu zaraz oddam...

— — — — — — — — — — — —

W czasie najbliższych czternastu dni zaufani wysłannicy Toma Traddletona przetrząsali jeszcze pilniej otoczenie miasta, a sam Traddleton z Reginaldem objeżdżali automobilem okolice Nowego Jorku. Wszystko napróżno! Nigdzie śladu zaginionej!

— Dotychczas nie zdołaliśmy niczego stwierdzić, ale w każdym razie trzymamy w ręku nić Aryadny i dojdziemy po niej do kłębka...

— A tą nicią jest?...

— Mam na myśli okolicę, w której pani Parrington znalazła tę wstążkę. Tam są jeszcze inne rzeczy, które wielce interesują... Przedewszystkiem to sanatoryum, gdzie Drowi Flackowi impertynencko zamknięto drzwi przed nosem, gdy chciał je zwiedzić... Po drugie, chciałbym osobiście obejrzeć dachy domów po tamtej stronie rzeczki, szczególnie ten z wielkiem oknem u góry i ten drugi z małym zakratowanym balkonem... Nie może mi także wyjść z głowy ta willa, przed trzema tygodniami wynajęta dla niewidzialnego chorego i dotychczas niezamieszkana...

— Czy pan ma jakie bliższe informacye?

— Właściwie nic szczególnego. Naturalnie krążą różne pogłoski o tym zakładzie dla „nerwowych", czyli poprostu domu waryatów... Z tych historyjek uderzyła mnie jedna: podobno mają tam oni w sanatoryum jakiegoś „dzikiego człowieka". Ma to być specyalnie niebezpieczny waryat, prześladowany przez manię morderstwa, któremu co pewien czas udaje się wywieźć w pole dozorców i umknąć z zakładu, co całe sąsiedztwo napełnia niesłychaną trwogą...

— Grey! — wykrzyknął nagle detektyw — ten zakład muszę sobie obejrzeć zbliska, choćbym miał sam udawać waryata!...

— Dlaczego pan mnie nie wyśle? — zapytał żywo Reginald. — Jabym...

W tej chwili zadzwonił telefon. Traddleton poskoczył i wziął słuchawkę do ręki.

— Hallo! Ach! to pan... Tak, naturalnie... Proszę przyjść zaraz. — Tom zawiesił słuchawkę i usiadł znowu w fotelu.

— Kapitan Rohan chce mi coś ważnego zakomunikować. Nie mam pojęcia o co chodzi, ale w każdym razie może byłoby lepiej, gdyby pan przeszedł do sąsiedniego pokoju. Drzwi mogą zostać otwarte. W ten sposób będzie pan miał możność słuchania rozmowy, nie będąc sam widzianym...

— Nie mam zamiaru podsłuchiwać!

— Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby pan to zrobił... Jak pan chce zresztą... Może pan słuchać, lub nie...

Zaledwie drzwi zamknęły się za Reginaldem, do pokoju wszedł wysoki mężczyzna o czarnych, bystrych, błyszczących oczach.

— Traddleton! czyś pan słyszał co o sprawie Claxtona?

— Coś słyszałem, ale bardzo niedokładnie.

— Zatem opowiem panu wszystko szczegółowo. Przedwczoraj w południe z domu Marka Claxtona znikł jego dziewięcioletni nader rezolutny i awanturniczy synek. Nikt nie widział chłopca wychodzącego z domu, nikt go nie spotkał. Słowem, żadnego śladu, żadnego punktu zaczepienia... Dzisiaj wreszcie przyszedł list, któregośmy oczekiwali...

— Aha!

— Claxton przybiegł z tym listem zaraz do mnie. Ci ludzie żądają sto tysięcy i oczywiście zapewnienia bezkarności... Pamiętając o porwaniu panny Irving, udałem się odrazu do starego Irvinga, aby porównać charakter pisma... To jest tasama ręka...

Traddleton podskoczył, jakby rażony iskrą elektryczną.

— Czyś pan tego pewny?!

— Najpewniejszy! Może się pan zresztą sam przekonać... Oto te listy...

— Ma pan racyę — rzekł krótko Traddleton, rzuciwszy okiem na oba listy. — Cóż dalej?

— Panie Traddleton, Claxton i ja przyszliśmy do przekonania, że pan musi się tą sprawą zająć... Claxton gotów jest ponieść wszelkie pieniężne ofiary... Tak, tak — dodał, widząc niecierpliwy gest detektywa — wiem, że panu na tem nie zależy... Ale tu przecież chodzi o dziecko... Tych łotrów należy koniecznie schwytać...

— Dobrze — przerwał Traddleton — zgadzam się zająć tą sprawą, ale pod warunkiem...

— Z góry zaakceptowany!

— Pan Claxton powierza prowadzenie sprawy wyłącznie mnie...

— To rozumie się samo przez się...

— Jeszcze jedno, Rohan... Prasa i publiczność niech będą utrzymane w mniemaniu, że pan kieruje akcyą... Mojego nazwiska nie wymieniać...

— Zgoda!

Kapitan Rohan pożegnał się i pospieszył do Claxtona zawiadomić go o pomyślnym wyniku swej misyi.

— Zdziwiło to pana może — rzekł później Traddleton do Reginalda — że zainteresowałem się sprawą Claxtona, ale logika faktów wskazuje mi, iż Alicya Irving i mały Claxton znajdują się pod tym samym dachem... Małego uprowadzono nie w nocy, ale w biały dzień... Łatwiej więc będzie wpaść na jego ślady...

— — — — — — — — — — — —

Było to już dobrze po północy... Wszyscy domownicy Jamesa Irvinga spali już... Tom Traddleton siedział już naprzeciw małej, zgrabnej osóbki o jasnych, bystro spoglądających oczach i energicznie wyprostowanej główce...

Młoda ta kobieta podała Tomowi długi wąski pasek papieru i rzekła:

— Oto lista. Te nazwiska kosztowały mnie prawie rok pracy. Niektóre z nich zdziwią pana może na pierwsze wejrzenie, żadne jednak z nich nie zostało tam umieszczone bez uzasadnienia... Jest tam kilka bardzo dystyngowanych łajdaków z najlepszego towarzystwa...

— To jest ten rodzaj, z którym mamy najwięcej kłopotu. Brudnego, obdartego przestępcę daleko łatwiej ująć.

W zamyśleniu przebiegł oczyma długą listę nazwisk.

— Oto mamy syna „cukrowego" magnata, który uchodzi za człowieka bardzo solidnego. Dalej trzej ulubieni sportsmeni. A oto dwaj młodzi Anglicy, o nieznanych źródłach dochodu... Mamy cały szereg młodych eleganckich panów, wydających bardzo dużo, a posiadających bardzo skromne fundusze... kilku adwokatów. I co to ja słyszałem niedawno o tym młodym, tak miłym i układnym doktorku. Jego wuj ma mu wyrobić posadę kierownika w jakiemś sanatoryum dla chorych nerwowo.

— To nazwisko skreślam z listy — rzekł po chwili zastanowienia.

— Dlaczego?

— Bo sam chcę się nim zająć!

— O! Tom... Więc pan sądzi, że...

— Zobaczymy!

— Tom! czy mogę panu zadać pytanie?

— Ależ naturalnie, Doro.

— Pan z pewnością znalazł oddawna te wszystkie nazwiska, które ja na mojej liście umieściłam. Na długo przed uprowadzeniem panny Irving... czyżby który z tych panów dał teraz specyalny powód do podejrzeń?

— Hm!... jeden z nich prowadzi wystawne życie w sposób zagadkowy, w dwa dni po wpłaceniu okupu, kupił wielkie auto...

— Ależ on nie ma auta! — wyrwało się Dorze.

— On sam nie ma, ale to nie zmienia postaci rzeczy. Ale zdradziłaś się droga koleżanko.

— Wiedziałam dobrze, że oboje myślimy o nr. 19 z naszej listy. Ten pan zaczepił mnie wczoraj w czasie mojej rannej przechadzki po parku. Zapytał mnie o zdrowie mej pani i prosił mnie, abym czuwała pilnie nad jej bezpieczeństwem. Pragnąłby także wiedzieć, czy koło panny Alicyi nie kręcą się jakieś obce indywidua, czy jej nie śledzą, nie szpiegują. Tłomaczył to tem, że wszyscy przyjaciele domu Irvingów niepokoją się, że nieznani złoczyńcy mogą ponowić próbę uprowadzenia.

— Oczywiście, że przyrzekła mu pani uwzględnić jego prośbę.

— To się rozumie. Muszę przecież grać dobrze moją rolę pokojówki.

Traddleton uścisnął serdecznie dłoń młodej dziewczyny.

ROZDZIAŁ XIV.

W samotnej willi wiejskiej.

Pani Dalmenay wraz z Tomem Traddletonem zwiedzili ów zakład dla umysłowo chorych pod pozorem, że pragną tam umieścić swą krewną jako pacyentkę. Nie zdołali wykryć nic podejrzanego, nic ich też nie uderzyło specyalnie prócz tego chyba, że oprócz lekarza towarzyszyła im cała gromada dozorców i dozorczyń. Na razie pozostawiono „sanatoryum" na boku i uchwalono przedsięwziąć inną wycieczkę. Malownicza willa wiejska nieszczęśliwej rodziny Shipmanów nie dawała spokoju Tomowi. To też pewnego pięknego poranku udał się w towarzystwie dwóch dam na automobilową przejażdżkę, której celem była właśnie owa samotna willa.

— Ależ ten dom zdaje się niezamieszkany zupełnie — zauważyła jedna z pań, kiedy auto mijało samotny dom na wzgórzu.

— Nie! jednak tutaj ktoś jest. Tam na balkonie drugiego piętra siedzi jakaś kobieta.

aby popatrzyć na automobil, który z głośnem „tuf tuf" odjechał w południowym kierunku i znikł wkrótce za zakrętem drogi.

— Pierwszy automobil od czasu, kiedy tu tak samotnie żyję — szepnęła kobieta na balkonie sama do siebie i zagłębiła się znowu w lekturze francuskiej powieści.

W pół godziny później posłyszała hurkotanie automobilu zmieszanego z odgłosem wesołego śmiechu. To samo auto ukazało się na drodze.

— Ależ to ci sami! Czego oni tutaj szukają? I jak oni jadą! jak waryaci! Boże!...

Pędzący automobil przechylił się nagle na bok, dał się słyszeć przeraźliwy krzyk dwóch kobiet i trzask zepsutej maszyneryi.

Pasażerom nic się nie stało, ale automobil był niezdolny chwilowo do użytku.

Kobieta na balkonie z żywem zainteresowaniem śledziła automobilistów. Wszyscy oni razem jeden przez drugiego mówili i gestykulowali. Szofer oglądał motor, poczem zakomunikował coś z wymownem rozłożeniem rąk, co wywołało oczywisty gniew u jegomościa w płaszczu w wielkie kraty.

Czoło obserwującej kobiety sfałdowało się nagle, kiedy zobaczyła, że obie damy oraz towarzysz kierują się w stronę willi. Mniejsza z pań szła, a raczej biegła naprzód, żywo coś opowiadając, wyższa szła za nią krokiem majestatycznym, pełnym godności, a mężczyzna w płaszczu w kraty wlókł się w tyle z miną kwaśną i srodze niezadowoloną.

(C. d. n.).



Skok na nartach.

(Z zawodów narciarskich w Zakopanem).

Zbrodnia w hypnozie.

(Z wykładu dra Juliusza Wagnera-Jauregga, dyr. kliniki psychiatrycznej w Wiedniu.

Mieszkańcy większych miast Małopolski i Kongresówki mieli w ostatnich czasach częstą sposobność bywania na t. zw. doświadczeniach medyumicznych, aranżowanych przez dra Radwana i nie żyjącego już dziś Kordyana-Zimroza. Na marginesie ich doświadczeń, odbywanych zawsze w dużych salach, do których można było wejść tylko za drogim wstępem, rozwinęła się w prasie dyskusya, która oświetlała krytycznie te publiczne produkcye.

W ubiegłym tygodniu do materyału dyskusyjnego w tej istotnie ciekawej sprawie dorzucił dr Michał Kozłowski swą broszurę, tłomaczoną z niemieckiego z wykładu dra Jaségga. — Z broszury te przytaczamy kilka ustępów na temat hypnozy.

* * *

Wśród publiczności jest bardzo rozpowszechnione mniemanie, że hypnoza jest stanem snu sztucznie wywołanym. Wiadomo, że tak nie jest w każdym wypadku; hypnozy różnych osobników nie są jednakowego rodzaju. Jedni popadają w hypnozie istotnie w stan podobny do naturalnego snu, jednak ten sen zostaje zawsze pod wpływem hypnotyzera i może w każdej chwili być przerwanym zapomocą prostej suggestyi obudzenia się. — W innych wypadkach jest stan hypnotyczny bardzo mało podobny do snu naturalnego; natomiast występuje wzmożona podatność na suggestye, a w najwyższych stopniach tejże

traci osoba zahypnotyzowana wszelką samodzielną czynność psychiczną

i staje się poniekąd automatem, kierowanym przez hypnotyzera, myślącym, czującym i działającym jedynie tak, jak hypnotyzer nakazuje, bez krytyki i zastanowienia, a przedewszystkiem, bez jakiegokolwiek sprzeciwiania się. Są to te medya, które w przedstawieniach hypnotycznych popisowych dokonywują owych mniej lub więcej pomysłowych czynności, imponujących tak bardzo laikom, np. zamienieni w psa chodzą na czworakach i szczekają, zjadają surowe kartofle jakoby słodką gruszkę i robią przytem zadowoloną minę, albo widzą na rozkaz jaką osobę, której wcale niema i odgrywają z nią sceny itd. Myliłby się, ktoby przypuszczał, że tak wysoki stopień suggestywności, jaki właśnie opisałem, jest regułą w hypnozie. Przeciwnie, wypadki takie należą do rzadkości.

Osoby, zgłaszające się na przedstawieniach publicznych jako medya, mają a priori bezgraniczną gotowość, aby popaść w stan hypnotyczny i zgodzić się nawet na najniedorzeczniejsze wymagania hypnotyzera.

Atoli w przeważnej liczbie hypnoz przeprowadzonych z wykluczeniem publiczności, znajdujemy tylko mniejszą lub większą gotowość poddania się suggestyom hypnotyzera, wcale nie bezgraniczną, przyczem własna krytyka i możność oporu medyum wobec suggestyi nie są całkowicie wykluczone. W każdym razie jednak istnieje wybitny stosunek zależności (Rapport) między hypnotyzerem a medyum, które jest przystępne zwykle tylko suggestyom tegoż i bardzo często tylko przez niego jednego może być zahypnotyzowanem.

Pod względem kryminalistycznym osobliwie ważnem jest to, że wzmożona podatność na suggestye trwa u wielu zahypnotyzowanych jeszcze po ustaniu hypnozy, co umożliwia t. zw. suggestyę pohypnotyczną.

Zahypnotyzowany dostaje zlecenie i ma je wykonać dopiero w pewien czas po obudzeniu z hypnozy.

Właśnie wskutek możliwości suggestyi pohypnotycznej zachodzi obawa nadużycia hypnozy do celów zbrodniczych. Wobec wielkiej władzy, jaką hypnotyzer posiada nad swojem medyum, trzeba uznać a priori możliwość zasuggestyonowania jakiejś osobie czynu zbrodniczego, który takowa wykonuje następnie albo w hypnozie, albo na mocy suggestyi pohypnotycznej w jakimś późniejszym okresie czasu.

Pytanie to roztrząsano dawniej w kołach fachowych wielokrotnie; jedni uczeni uważali możliwość nadużycia hypnotyzowanych do popełniania zbrodni jako bardzo wielką, inni zowu na możliwość taką wogóle zgodzić się nie chcieli; prawda, zdaje się, leży w pośrodku, jak to zwykle bywa przy ścieraniu się mniemań.

Wykonano już wiele doświadczeń, celem udowodnienia możliwości takich kryminalnych suggestyi w hypnozie. Znaczna część tych doświadczeń nie powiodła się, gdyż dotyczące medya wcale nie wykonały suggestyonowanych im zbrodni na scenie. Już podczas suggestyi czynów niekryminalnych okazuje się najczęściej, że

medyum hypnotyczne nie jest całkiem pozbawione zdolności oporu

i że suggestye nie udają się, jeśli sprzeciwiają się jakiemu silnemu naturalnemu uczuciu. Dobrze wychowana młoda dama pozwoli wprawdzie suggerować sobie, że jej ręka jest nie czuła na ukłucia igłą, przyjmie nieistniejący bukiecik kwiatów z podziękowaniem i będzie chwalić woń jego; ale niezechce w obecności widzów seansu hypnotycznego rozebrać się do naga, lub wykonać jeszcze zdrożniejsze czynności. Łatwo więc pojąć, dlaczego też wiele suggestyi kryminalnych zawiodło. Czyn nie został wogóle wykonany, albo wprawdzie impuls do czynu był widoczny i można było wyraźnie widzieć, jak

medyum staczało walkę wewnętrzną,

nawet wykonało pewne czynności przygotowawcze, jak chwycenie rzekomego narzędzia morderczego albo przedmiotu mającego być skradzionym, ale ostatecznie do wykonania czynu nie przyszło.

Ziarno św. Józefa.

Zaciekawiło mnie. Tu i ówdzie po polach przechadzają się chłopi, przeważnie starsi, nawet starcy, pochyleni wiekiem. Kroczą wolno, z powagą i wykonują rękami jednostajne, rytmiczne ruchy. Sieją.

Tuż koło drogi ciągnęło się uprawne pole, po którem również kroczył starzec. W pewnej chwili stanął, strzepnął rękami uwiązaną u pasa płachtę i odetchnął głęboko. — Wyprostował nieco barki, podniósł głowę ku niebu i naznaczył nad polem szerokim ruchem ręki duży znak krzyża.

— Niech będzie pochwalony — powitałem go, kiedy zeszedł na drogę. — Cóż to gospodarzu, siejecie tak wcześnie?

— To pan nie wie, że to czas siania wiesnowej koniczyny. Przecie to jutro świętego Józefa, a kto w wilię Józefa zasieje, temu ptak nie zje i wiater nie zwieje. O, widzi pan, co chłopów po polach i to starzy, bo ziarno świętego Józefa, co starsi siać mają.

— Dlaczego koniczynę nazywacie ziarnem św. Józefa?

— To widać pan nie wie, a kiej ciekawy, opowiem. Było tak: Dawno, bardzo dawno, (wiele roków temu, nikt ta nie rachował), siał raz chłop w wilię św. Józefa koniczynę. Takie biedne, stare chłopisko, co miał ledwo dwa, albo trzy morgi. Nie dosiał całego pola, bo brakło mu. Stanął i dumał, ale że nie mógł nic wydumać, zabrał się ku chałupie. Kiej miał już schodzić z pola, zbliżył się ku niemu jakiś stary wędrowiec z węzełkiem na plecach (było to koło drogi) i pytał czemu taki markotny. Opowiedział chłop swoją biedę i jak mu to majętny sąsiad nie chciał ani pożyczyć, ani sprzedać koniczyny. Wędrowny wyciągnął z węzełka woreczek, dał go chłopu i kazał mu siać, ale jeszcze raz po całem polu, a gęsto. Hej, uradował się biedak. Podjął za nogi wędrowca, a potem poszedł siać. Siał tak wartko, jakby miał ze trzydzieści roków, a czasem nieczasem zagwizdał sobie, choć mu ta już na siódmy krzyżyk było. Ani nie spostrzegł, kie zasiał. Nie mógł se tylko wymiarkować, jak to jest, że taki mały woreczek, a wystarczył na całe pole. Przyglądnął się wędrowcowi i coś mu świtać zaczęło w głowie, ale ta nie mógł tobo bardzo zmiarkować. Podjął go jeszcze raz za nogi, a ten mu powiedział: „Niech wam ta Bóg poszczęści".

Poszli razem do chałupy. Chłop języka za zębami nie zwyczajny trzymać, chwalił się przed każdym, co mu się przydarzyło. Dowiedział się i majętny sąsiad. Przyszedł do nich wieczór i choć ta nie siał jeszcze, zaczął skamleć, że i jemu braknie. Wędrowiec wymawiał się, że niema już koniczyny, ale ten nic ino skamle i skamle, bo chytry był — aż dostał i on woreczek. Swoją koniczynę sprzedał, a z tego, co dostał, obsiadł aż trzy pola.

Ten wędrowny, to był święty Józef.

— Jakże się dowiedziano?

— Jak? — a tak: Biednemu obrodziła się tak koniczyna, że zbogacił się, aż wszyscy się dziwowali — a i bogatemu obrodziły się pola, ale ostem. Od tego czasu ostu miał wszędzie pełno, aż skapał. To za karę, że chytry był i biednemu nigdy nie pomógł.

Ale już przedtem (w ten sam wieczór) poznali, że to był święty Józef.

Gospodarz, choć sam biedak i dzieci miał kilkoro, wziął na wychowanie sierotę, małego chłopca. — Tego wieczora, kiedy sierota kończył pacierz ofiarowaniem do świętego patrona, (a było chłopcu Józek) i mówił:

„Święty Józefie, patronie mój,
Ty zawsze przy mnie stój
i rano i wieczór i we dnie i w nocy
przyjdź mi zawsze ku pomocy".

Wtedy zrobiło się w izbie bardzo jasno. — Wszyscy przelękli się i myśleli: pali się we wsi — a tu koło głowy wędrowca jasność. Zmiarkowali i upadli na kolana twarzą ku ziemi, a kiedy podnieśli głowy, wędrownego już nie było. Sierota został księdzem i był bardzo uczony i świątobliwy.

Tak opowiadali z dawien dawna nasi ojcowie i jaknajstarsi pamiętają, sieją zawsze wiesnową koniczynę w wilię świętego Józefa i niema roku, żeby temu lub tamtemu nie obrodziła się bardzo pięknie. Dlatego to w tej okolicy nazywają ją „Ziarnem św. Józefa".

Jan Migo.

W dziewiczych krajach Afryki.

12 (Dalszy ciąg).

Ciekawi zapewne jesteście, widzę bowiem na ustach waszych uśmiech ironicznej niewiary, jakim sposobem wysadzając was tutaj przed odjazdem przeszkodzić mogę, ażebyście po moim odjeździe użytecznych nie dostarczyli wskazówek okrętowi wojennemu, któremu się już zdaje, że nas trzyma w ręku. Sposób jest bardzo prosty i tem chętniej go wam odkryję, że niepodobna będzie długo ukrywać go przed wami... Tego rana przyjaciel mój Gobbi przyznał mi się do gwałtownej żądzy, jaka opanowała go od niejakiego czasu, a której niema środka zaspokojenia.

— „Oddałbym chętnie — rzekł do mnie — połowę księżniczek dwór mój zdobiących i pół tuzina szambelanów moich, za dwóch lub trzech niewolników białych, którzyby stanowili ozdobę pałacu mojego nad brzegami Kuango i ćwiczyliby armię moją“.

— Jakto! śmiałbyś pan — zawołał Guillois, nie mogąc powstrzymać oburzenia.

— Pozwól się panu wygadać, mój przyjacielu—rzekł spokojnie Barthet—bawi mnie on niesłychanie.

— Domyślacie się panowie... Zamiarem moim w istocie jest ofiarowanie was w prezencie memu przyjacielowi Gobbiemu i zrobię to z tem większą przyjemnością, że to panu, panie Barthet, podoba się niezawodnie. Zrobisz pan jedną z najpiękniejszych wycieczek, o jaką podróżnik kusić się może, bez najmniejszego ryzyka, niebezpieczeństwa i kosztu.

— Dosyć tych dowcipów, mój panie, rób jak ci się podoba — przerwał młody oficer.

— Zdaje się — zawołał nagle Noël— że nie zrozumieliście jeszcze, że cała ta przemowa moja zmierza do tego, aby nie postąpić sobie z wami tak, jak na to zasługujecie.

— Mów pan co chcesz, wyrazy pańskie ujdą bezkarnie; jesteśmy na pokładzie pańskim... i... związani!

— Nie drażnijcie mnie panowie... chcę być spokojnym, jak wy. Po bitwie mojej z W a l e c z n ą chciałem się pozbyć was dla bezpieczeństwa załogi mojej i własnego. Życie wasze nie warte przecież główpięćdziesięciu. Daliście mi słowo, jako zakład życia waszego, że nie uciekniecie, ani nie zwrócicie uwagi na mnie. Wczorajszego wieczoru złamaliście przyrzeczenia wasze...

— Nie dotrzymuje się słowa — odpowiedział Guillois — zbójcom obdzierającym podróżnych i z nożem na gardle żądającym przyrzeczenia, że nie ostrzegą nikogo o istnieniu ich w lesie. Stoicie nietylko poza prawem społecznem, ale i poza prawem ludzkiem, a haniebne rzemiosło wasze gorsze jest od rzemiosła korsarza, odzianego pewnym urokiem walki i niebezpieczeństwa nieustannego... Zapełniacie dna waszych statków zakutymi w kajdany czarnymi nędzarzami, którzy bronić się nie mogą... a od kary, która prędzej czy później was dosięgnie, ratujecie się haniebną ucieczką. Pomińmy nawet niemoralność handlu waszego. Gardzę wami i mówię to śmiało, bo nie prowadzilibyście go na statku, któryby z powodu wyjątkowej szybkości swojej nie był w stanie uciec przed strażnikami. Bitwa wasza z „Waleczną“ o żółwich ruchach i przestarzałych armatach była dziełem mizernego zbójcy, i jeśli chcesz pan wiedzieć prawdę, to w samej zbrodni nie jesteś człowiekiem, ale...

— Dokończ...

— Nikczemnikiem, kryjącym się w zasadzce dla zadania ciosu i zemknięcia na pewno.

Usłyszawszy te słowa, Yankies, pieniąc się z wściekłości, odwiódł szybko kurek rewolweru i zmierzył go w pierś odważnego młodzieńca. Barthet, idąc jedynie za popędem serca, rzucił się naprzód, aby ciałem swojem zasłonić przyjaciela.

Obadwaj przekonani byli, że ostatnia ich wybiła godzina, kiedy Noël pohamował się nagle i z pięścią zaciśnioną zawołał:

— Podziękujcie myśli, która mi nagle błysnęła, bo jej zawdzięczacie życie. Kiedy krew oczy mi słoniła, kiedym za cyngiel pociągał, ujrzałem was niby przelotne marzenie, tłuczących kasawę z łańcuchem u szyi, na brzegu jeziora Kuffua, a myśl ta zemsty wstrzymała rękę. Sądzę, panowie, że przypomnicie mnie sobie w tych przyjemnych chwilach... w owej godzinie, kiedy ojczyzna na myśl wam przyjdzie i kiedy wśród cierpień, jakie w głębi Afryki znosić będziecie, staną przed wami obrazy krewnych i przyjaciół na zawsze dla was straconych!...

Wobec cynizmu tego człowieka, objawianego tak bezwstydnie, dwaj młodzieńcy, pomimo słusznej zgrozy, jaką uczuli przy tych ostatnich słowach, zdobyli się na wysiłek bohaterski i poprzestali na pogardliwym uśmiechu.

W tej chwili Davis wracał z Gobbim.

Poczciwy władca był właśnie zajęty sprawiedliwem karceniem jednej z księżniczek dworu za ściagnięcie mu kieliszka tafii. Dowiedziawszy się, że przyjaciel jego, kapitan, pragnie go widzieć, odłożył na później koniec operacyi i przybrany w jeden z najpiękniejszych swych kostyumów, w szapoklaku, fartuchu sapera i butach palonych udał się z porucznikiem.

Radość jego nie miała granic, kiedy się dowiedział o podarku Noëla. Obawiając się przeto utraty zdobyczy swojej, przywołał pół tuzina wojowników, którzy rzucili się na młodzieńców, związali ich jak baranów i ponieśli uroczyście do namiotu z bambusów i liścia, który Gobbi wystawić sobie kazał na brzegu.

Giliasse i Toucas spali w kajucie po trudach dziennych i później dopiero dowiedzieli się o losie towarzyszów.

Kapitan ostrzegł także przyjaciela swego Gobbiego o obecności obcego statku. Dał mu do zrozumienia, że o świcie statek ten wpłynie na rzekę i może zabrać wszystkie towary, jakie znajdzie na brzegu, nie wyłączając i jego samego.

Poczciwcowi temu, wystraszonemu w podobny sposób, wielce przypadła do smaku rada natychmiastowego zwinięcia obozu i puszczenia się w drogę ku posiadłościom swoim. Zszedłszy tedy szybko ze statku, rozbudził kijem swe żony i rycerzy, którzy na rozkaz jego wzięli na barki skrzynie z rumem, strzelby, puszki z prochem i inne towary wymienione z „Osą“ za niewolników i znikli niebawem w głębi puszczy, dla zyskania kilku godzin drogi na rzekomym nieprzyjacielu, którym Noël postraszył Gobbiego.

Dwaj Europejczycy oddani zostali pod straż czterech ludzi z gwardyi królewskiej, którzy włożywszy im powróz na szyję, ciągnęli ich za sobą jak bydlęta.

„Osa“ ze swej strony nie czekała z podniesieniem kotwicy na wybranie się murzynów w drogę. Zadowolony z tego, że dzięki strachowi, jakiego mu napędził, Gobbi, a więc i więźniowie, o których oddalenie od brzegu tyle mu chodziło, nie będą już nazajutrz rano na brzegach Rio das Mortes, Noël dał znak niecierpliwie wyczekiwany przez całą załogę, i galiota, kierowana przez Cabota, który ster ujął w ręce, cichutko z biegiem rzeki pod małem ciśnieniem pary płynąć zaczęła.

O sążeń przed sobą nic rozróżnić nie można było i gdyby sternik nie był się za poprzedniej podróży obeznał z hydrografią rzeki, nie byłby w stanie dokazać tego, na co się odważono.

Drąg od rudla przechodził do bateryi, gdzie się umieścił Cabot, budki bowiem sternika nie śmiano oświetlać na pokładzie. Tu z oczyma w busolę i w kartę przez siebie nakreśloną wlepionemi, kierował on „Osą“ ręką pewną i wyćwiczoną, wśród ławic piaskowych i załomów rzeki, robiących z tej podróży najniebezpieczniejszą awanturę.

Niepodobna opisać wrażeń, jakie każdą pierś przejmowały... Skoro usłyszano w oddali szmer regularny fal uderzających o brzegi ujścia, każdy skwapliwie wytężył wzrok ku oceanowi, dla rozpoznania stanowiska statku strażniczego. Kiedy galiota weszła

w przejście, trzy latarnie wojennego okrętu błysnęły w niewielkiej odległości. Okręt stał na środku ujścia, panując nad nim całkowicie — i wszyscy się przekonali, że ucieczka za dnia byłaby najzupełniej niemożliwą.

Wypłynąwszy z rzeki, „Osa", zwalniając biegu, dla nieobudzenia czujności potężnego swego przeciwnika, popłynęła wzdłuż brzegu morskiego, co w ciągu pół godziny oddaliło ją z wód statku strażniczego.

Skoro Noël ujrzał przed sobą swobodny przestwór morza, odetchnął pełną piersią z zadowolenia.

— No, panowie — rzekł do oficerów — piekło nas jeszcze nie potrzebuje i myślę, że „Osie" sądzono zakończyć żywot ze starości, jako uczciwemu i prostemu handlarzowi.

O wczesnym ranku, kiedy Giliasse i Toucas wyszli na pokład zdziwieni ruchem galioty, ujrzeli tylko niebo i morze wokoło. Dowiedziawszy się, co zaszło z towarzyszami, wpadli odważnie do kapitana i złożyli na jego ręce formalną protestacyę, w której żądali, aby ich niezwłocznie wysadzono na ląd afrykański, dla dzielenia losu nieszczęśliwych ziomków.

Noël, który tego rana w dobrym był humorze, wysłuchał ich żądania, siląc się niesłychanie na utrzymanie powagi... Wyznał im pokornie, że rzeczywiście zawinił, zapomniawszy o nich, inaczej byłby ich niezawodnie wysadził, gdyby mógł przypuszczać, że im to sprawi przyjemność... tem bardziej, że byłby uszczęśliwił Gobbiego, ofiarując mu dwie osobistości tak znakomite, któreby stanowiły najpiękniejszą ozdobę jego dworu. Prosi ich więc o staranne zachowanie protestacyi, celem dołączenia jej do owego słynnego raportu, jaki po odzyskaniu wolności rządowi złożyć zamierzają.

— Kapitanie — odpowiedział Giliasse — wobec tak lojalnego wyjaśnienia...

— Niema chmurki między nami, nieprawdaż, panowie?... — dokończył Noël.

— Wszystko dobrze — rzekł, wychodząc, Toucas do przyjaciela — ale jak u dyabła komisarz jeneralny w Bordeaux mógł nas wsadzić na tę galiotę...

X.

Ostatni szczątek.

W dwa miesiące później, rybak pewien z Rio-Grande del Norte, na brazylijskim brzegu, spotkał szczątek okrętu, łagodnie kołyszący się na falach oceanu. Zbliżywszy się do niego, na blasze, trzymającej się jeszcze tyłu okrętowego, przeczytał jeden wyraz: „Osa".

Cóż się tedy stało?

Czy korsarze spotkani zostali przez statek strażniczy i zatopieni po walce śmiertelnej?

Czy murzyni doprowadzeni do rozpaczy owładnęli statkiem?

A może ocean w jednym z owych napadów wściekłości, którym się nic oprzeć nie zdoła, wymierzył karę na ostatni statek niewolniczy?

Napróżno byłoby pytać się owego szczątka o tajemnicę. Milczący jak kamień grobowy na mogile, nie zdradził on niczem powodów katastrofy, jakiej uległa „Osa".

XI.

Congo. — Gobbi powraca do państwa swego. — Gangasowie i fetysze. — Barthet i Guillois w służbie królewskiej.

Po czterech czy pięciu dniach pochodu, Barthet i Guillois, chcący ujść z rąk dozorców, zostali na rozkaz Gobbiego pomieszczeni w sieciach z włókna kokosowego, przyczepionych dwoma końcami do mocnego drąga bambusowego, a dwóch niewolników niosło każdego z nich w podobnym hamaku ze wszech stron zamkniętym. Król murzyński, dumny ze swej zdobyczy, chciał ich za wszelką cenę dostawić całymi i zdrowymi do swej stolicy, ku wielkiemu podziwowi poddanych, na widok dwóch ludzi, należących do rasy, którą przywykli uważać za wyższą od swojej, a dziś niewolników królewskich.

Dotychczas bowiem jeden dopiero biały dostać się zdołał do państwa Kuango, w którem władał Gobbi, a lud prosty znał ludzi tego rodzaju z bajecznych tylko wieści, jakie o nich opowiadali za powrotem dozorcy niewolników.

Gobbi chciał tedy nadać sobie minę tryumfatora rzymskiego, wiodącego królów zwyciężonych przykutymi do swego tryumfalnego wozu.

W jedenaście dni po wyruszeniu, cały orszak przechodził Koanzę, a w siedm dni później przybywał nad brzegi Kuango czyli Congo, nazywanej przez krajowców Moienzi-Enzaddy czyli rzeką wielką, a przez Portugalczyków Zairą.

Mata-Zamba, stolica Gobbiego, leżała na lewym brzegu Congo, o dziewięć dni drogi powyżej miejsca, w którem rzeka Kassandże wpada do pierwszej. Stolicę tę stanowiło czterysta do pięciuset sadyb, z których każda składała się z dwóch lub trzech chat, otoczonych plecionką ze trzciny. Podobny materyał służył również do budowy chat, tak prostych, że parę godzin dość było na postawienie każdej. — Drzwi zastępował otwór kwadratowy, wystarczający na przepuszczenie człowieka; naprzeciwko niego znajdował się drugi otwór, nieco nad ziemię wzniesiony i służący za okno. Na noc obadwa otwory zasłaniano plecionką trzcinową.

Pałac królewski od innych mieszkań te msię różnił tylko, że był nieco większy, podzielony na izb kilka, z wielką salą tronową, należycie przewietrzaną, starannie wyłożoną matami, o ścianach zawieszonych bronią, fajkami, i czaszkami ludzkiemi, których posiadacze poświęceni byli na ofiarę wielkiemu Marambie.

Czaszki te służyły Gobbiemu za gri-gri, czyli talizmany, a wedle ogólnego mniemania, strzegły dni królewskich od spisków, trucizny i złych duchów.

Przed salą tronową, w której monarcha przyjmował dostojników państwa, znajdowała się kupa kamieni, a na niej grubo wyrzeźbiona z kłody drzewnej postać Maramby, wielkiego stwórcy świata, depczącego nogami złego ducha, Mewuję, który śmiał podnieść bunt przeciw jego władztwu.

Maramba okryty był kawałkami starego żelastwa, wymienionemi na statkach niewolniczych, piórami, łachmanami, a na szanownej głowie jego sterczała jedna z owych wspaniałych kosmatych bermyc, które po reformie 1834 roku opuściwszy głowy gwardzistów narodowych francuskich, hurtem sprzedane zostały handlarzom na brzegach Afryki.

Co się tyczy Mewui, złego ducha, którego nie wypadało jednakże drażnić pozbawieniem wszelkiej ozdoby, uznano go poprostu godnym starego jedynie cylindra, znoszonego już przez króla.

Całe kolegium gangasów, czyli kapłanów, pełniło służbę przy Marambie. Temu to kolegium przypadły z prawa rozmaite ofiary, składane przez lud bożyszczu co rano.

Wokoło kupy kamieni znajdował się cały wieniec bożków niższych, czyli fetyszów, służących na drobniejsze potrzeby, kiedy nie uważano za stosowne fatygować wielkiego Maramby.

Tak specyalnością jednego było leczenie febry, innych leczenie kolki, lub białego trądu.

Ten prostował garbatych, przywracał słuch głuchym i wzrok ślepym; tamten uzdrawiał specyalnie kulawych.

Inny sprowadzał deszcze, kiedy na zbiory potrzebne bywały, jeszcze inni robili nieszkodliwemi ukąszenia wężów, odnajdywali zgubione lub skradzione przedmioty, a do tego najczęściej dosyć było przyłożyć je sobie na żołądek, lub zawiesić na szyi gri-gri, mały kwadracik szmaty albo drewna, składany na chwilę przez gangasów na wielkim palcu odpowiedniego fetysza.

W razie kradzieży, postępowano jeszcze inaczej.

Pewnego dnia w Matta-Zamba złodziej poważył się ukraść jednego z fetyszów, należących do jakiegoś dygnitarza dworu. Był to fetysz uzdrawiający kolki, który z powodu tej właśnie specyalności nie miał siły oparcia się kradzieży, jakiej stał się ofiarą.

Dla odzyskania więc małego bożka, udano się do jednego z fetyszów królewskich, posiadającego własność odkrywania złodziei. Posążek jego z wielką uroczystością wyniesiony został z pałacu Gobbiego i postawiony na placu publicznym. Mieszkańcy wokoło niego tańczyć zaczęli i zaklinać go wyciem i odpowiednimi krzykami, ażeby zmusił złodzieja do złożenia w ciągu dni trzech ubóstwianego fetysza na miejsce, z którego był wzięty, a w razie nieposłuszeństwa, ażeby złodziej ów padł trupem z całą swą rodziną.

Pomimo wszelkich zaklęć złodziej bożka nie zwrócił i po trzech dniach fetysz odniesiony został z wielką uroczystością do pałacu królewskiego.

Nazajutrz pewien młodzieniec w mieście skonał w strasznych konwulsyach. Gangasowie, którzy niewątpliwie go otruli dla ocalenia honoru fetysza swego, głosili publicznie, że biedak odniósł tylko zasłużoną karę i że bożek pomścił swegę kolegę, zsyłając śmierć na złodzieja.

Fetysze Gobbiego służyły tylko w uroczystych okolicznościach i lud uciekał się jak najprędzej do ich orędownictwa, bo cena, jaką król i kapłani nakładali na udzielanie przez nich łaski, wystarczała do zrujnowania rodziny lub wioski, pragnącej ich pomocy.

Każde przeto mieszkanie posiadało własnych fetyszów.

Kiedy Gobbi wracał uroczyście do swej dobrej stolicy Matta-Zamby ze swemi małżonkami, szambelanami, rycerzami... z długim sznurem niewolników, niosących tafię, tkaniny bawełniane, strzelby, pałasze, stare bagnety, kostyumy wszelkiego rodzaju i dwóch niewolników białych, zapał mieszkańców nie miał granic i król zaledwie mógł torować sobie drogę do pałacu wśród kwiatów i liścia sypanego po niej. Ostatecznie zmuszony był nawet rozkazać gwardyi, aby kijem usuwała z drogi wiernych jego poddanych.

Przybywszy na podwórze pałacowe, padł trzykrotnie na twarz przed wielkim Marambą, dziękując mu za opiekę w podróży. Następnie pobożnie schylił głowę przed wszystkimi innymi fetyszami, otaczającymi stos kamieni. — Wszyscy dworacy, za przykładem monarchy, dopełnili tegoż samego.

Pobożny król ofiarował wtedy domowym bogom swoim trzech niewolników, których arcykapłan zamordował natychmiast u stóp Maramby. Po skończeniu ofiary bożyszcze zaczęło drgać na swej podstawie, kiwać głową, ruszać ramionami na znak zadowolenia i usłyszano głosy tajemnicze, wychodzące z piersi jego.

Struchlały motłoch padł twarzą na ziemię, a naczelny gangas tłumaczył objawioną wyrocznię.

Wielki Maramba żądał ni mniej, ni więcej, jak tylko, żeby dwaj biali niewolnicy, przyprowadzeni przez Gobbiego, zostali oddani na jego wyłączną służbę.

Nie potrzeba nadmieniać, że głosy słyszane wychodziły z ust gangasa brzuchomówcy, którego funkcyę stanowiło objawianie ludowi woli niebios. Tak niegdyś w Efezie, Tebach, Eleusis, Dodonie i wielu innych miejscowościach hierofanci i podobni im kuglarze przemawiali przez usta bogów starożytnego Olimpu.

Gobbi był człowiekiem sprytnym, który zbyt długo żył już ze swymi kapłanami, aby nie miał wiedzieć, co warte były ich kuglarstwa. Ponieważ jednak należał do tych polityków, którzy rozumieją, że nie należy nigdy osłabiać uroku religijnego w ludzie prostym, przeto czekał, aż wszyscy się rozejdą i wtedy oświadczył wręcz gangasom, że figle ich nie zdadzą się im na nic i że dwóch białych zatrzyma dla własnej usługi.

Arcykapłan Maramby, który nie zaniedbywał żadnej okoliczności, przy której mógł brać górę na władzą świecką, dał znak gangasowi brzuchomówcy, aby dalej ciągnął swą sztukę i natychmiast posąg bożyszcza zaczął na nowo się poruszać, robiąc miny straszliwe i nowa wyrocznia, gwałtowniej jeszcze domagająca się dwóch niewolników, słyszeć się dała.

Gobbi, który żartować z siebie nie pozwalał, miał specyalny sposób hamowania zachcianek duchowieństwa swego. Dobył więc szabli, a podszedłszy do gangasa brzuchomówcy, jednym zamachem zniósł mu z karku głowę.

Obracając się wtedy do arcykapłana, rzekł:

— A teraz co o tem myśli wielki Maramba? Czy jest jeszcze drugi brzuchomówca między wami?

W jednej chwili wszyscy gangasowie padli do stóp królewskich, szepcąc jednozgodnie:

— Wasza królewska mość przedziwnie władasz szablą. Wielki Maramba, którego przedstawicielem jesteś na ziemi, dał ci ją dla spełnienia woli swojej.

Głowa gangasów uznał się za zwyciężonego i z całym swym orszakiem wyczołgał się z sali na klęczkach, z wściekłością w duszy.

Gobbi głębokim był politykiem. Widząc ich tak uniżonych, tak pozornie uległych, pomyślał natychmiast sobie: „Sprawa moja oczywista... w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, za przykładem sławnych przodków moich, zostanę do nieba wzięty po odebraniu nagrody za cnoty moje... Trzeba zaradzić temu“...

Dla uszczenia szczęśliwego swego powrotu, kazał on rozdać ludowi obficie korzeni manioku i kukurydzy; wszystkich zaś gangasów i dostojników dworu zaprosił na ucztę wspaniałą. Biesiada skńczyła się kolejką alugu, czyli rumu, nabytego od Europejczyków. Po libacyi ej wszyscy gangasowie z arcykapłanem na czele, wśród strasznych boleści przeszli na łono wielkiego Maramby.

Nazajutrz wieść się rozeszła w pospólstwie, że przez bóstwo wezwani zostali oni dla pełnienia obowiązku gangasów w M'Bu-Bu Mataplanie, czyli w raju fetyszów.

Gobbi z kasty kapłańskiej wybrał wtedy dziecko siedmioletnie, które wyniósł do godności arcykapłana.

— Teraz przynajmniej — rzekł do siebie, zacierając radośnie ręce — będę miał spokój na długo.

Następnie przejrzał administracyę ministrów, którym powierzył rządy podczas swej nieobecności. Przywoławszy ich do sali posłuchalnej, zauważył, że wszyscy tak się upaśli, iż niepodobna im było przecisnąć się przeze drzwi. Dał im więc dwadzieścia cztery godziny czasu do schudnięcia i zdania sprawy z działalności swojej. Nazajutrz kazał ściąć trzech czy czterech, którzy nie umieli wynieść się w porę.

Uspokoiwszy w podobny sposób niektóre drobne nieporozumienia, jakie w łonie nawet rodziny jego zaszły, przywrócił najzupełniejszy porządek w swem państwie.

Takiemi to drogami Barthet i Guillois uniknęli służby u wielkiego Maramby, a dostali się na usługi słynnego Gobbi.

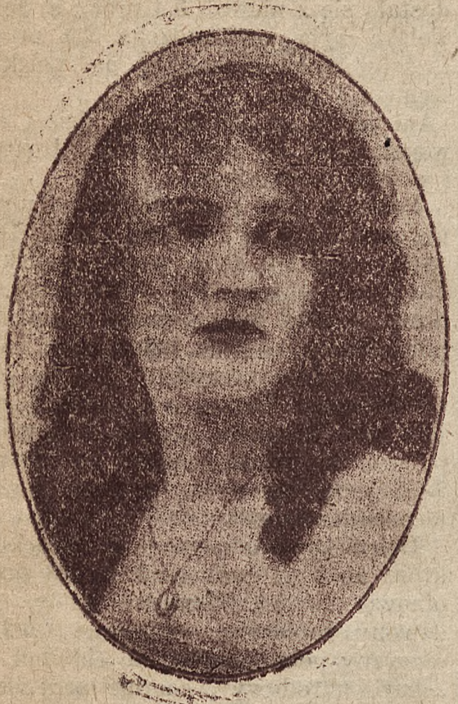
Obowiązkiem ich było czyszczenie broni monarchy, polerowanie czaszek służących za gri-gri, do których przybyły świeże głowy gangasów i ministrów, a nadto uprawianie w ogrodzie pałacowym manioku, wyłącznie na stół jego królewskiej mości.

Korzeń ten jest najważniejszym materyałem pokarmowym murzynów południowej Afryki; jest go kilka gatunków podobnych do siebie z pozoru, ale różniących się dobrocią i barwą.

Gatunek, uprawiany nad górnem Congo, jest najlepszy. Liście rośliny są ciemno-zielone, jak u dębu, z mnóstwem żyłek i drobnych punkcików. Łodyga wyrasta do dziesięciu i dwunastu stóp, a dzieli się na liczne gałęzie, jakkolwiek jest giętka, jak łozina. Kwiaty są drobne, owoce zaś nie mają żadnych szczególnych własności.

(C. d. n.)

Z konkursu piękności we Francyi.





Całuję rączki.

Barbarzyński zwyczaj całowania rąk damom na przywitanie i pożegnanie utrzymał się w całej Polsce, a w szczególności w naszej dzielnicy po dzień dzisiejszy. Warszawa wprawdzie tego zwyczaju się nie wyzbyła, mimo to urągliwie wita nas z Małopolski typowem „całuję rączki“.

Znam autentyczną przygodę oficera austryackiego, usiłującego w przebraniu kobiecem z niewoli rosyjskiej przedostać się do kraju, który zdradził swoje incognito tylko dzięki naszemu nieodstępnemu „całuję rączki“.

Przypominam sobie śmiech homeryczny, który towarzyszył opowiadaniu o sposobach witania i żegnania się Eskimosów. A było to na zebraniu ludzi wykształconych. Biedni Eskimosi witają i żegnają się dotknięciem nosa.

Istota pocałunku — to wydobycie pewnej ilości naogół zbędnej śliny i stąd to wielkie pokrewieństwo pocałunku i plucia. Ślina jest rozsadnikiem najcięższych i najniebezpieczniejszych chorób.

W pierwszym rzędzie jest ślina rozsadnikiem gruźlicy i kiły (syfilis) i gruźliwy niemal w każdym wypadku, bo przedewszystkiem śliną szerzą się zarazki gruźlicy. Kiła zaś przeważnie wtedy, gdy w jamie ustnej znajdują się owrzodzenia kiłowe.

Gruźlica skóry nie należy dziś do zbytniej rzadkości — jest ona bardzo częstym gościem w ambulatoryach lekarzy chorób skórnych. Chory zaklina się wtedy, że w rodzinie nikt na gruźlicę nie chorował i że w otoczeniu gruźliczo chorych nie przebywał i ani mu przez myśl nie przejdzie, że niewinne „całuję rączki“ eleganckiego kawalera, przyprawiły zgłaszającego się osobnika o gruźlicę.

Nieinaczej ma się rzecz z kiłą.

Także tak częste na rękach zanokcice i wreszcie róża sama, często śmiertelna, znajduje swe źródło w pocałunku przeniesionych paciorkowcach (streptococcach).

Zapalenie płuc przenosi ślina pocałunków, gdy zawiera (a zawiera nierzadko) dwoinki zapalenia płuc (pneumococci).

Całuję rączki nie oszczędza także oskrzeli, przenosząc do nich ziarenkowce kataralne (micrococcus catharralis), wywołując w ten sposób katary oskrzeli i zapalenia płuc odoskrzelowe (broncho pneumoniae). Każda matka zna przykrości kokluszu (krztusiec), ale mało wie o tem, że zarazek krztuśca prątek Bordeta pocałunkiem się przenieść może. I tak niejedna matka dzięki szlachetnemu zwyczajowi „całuję rączki“ niewinnie i nieświadomie własne dzieci zaraża.

Ślina jest także rozsadnikiem dżumy, na szczęście w okolicach, które „całuję rączki“ nie znają.

„Całuję rączki“ jest wreszcie rozsadnikiem bakteryi choroby obecnie bardzo modnej i aktualnej, a w skutkach zgubnej, mianowicie grypy (influency, hiszpanki).

I byłem już niejednokrotnie świadkiem, jak osoby starsze w czasie obecnej epidemii z obawy przed zakażeniem nie przekraczały progu domu, a zarazie uległy jedynie dzięki „całuję rączki“.

„Całuję rączki“ przestrzegają niestety z obowiązku uczennice wyższych i niższych zakładów wychowawczych, a skrupia się to bardzo często na temu zwyczajowi hołdujących paniusiach i ich wychowanicach.

Czyż słowne tylko przywitanie czy pożegnanie nie jest dostatecznym wyrazem naszych uczuć?

Czas „całuję rączki“ odesłać do historyi — do czasów, gdy ślina nie tylko nie szkodziła, ale jako środek leczniczy — wiedzą o tem jeszcze i dziś nasze kumoszki — miała rolę niepoślednią.

Dr Mierzecki.

Syn bohatera z Brześcia litewskiego zabójcą Rozy Luksenburg.

Senzacyjne rewelacye niemieckiego oficera.

„Neue Zuricher Zeitung“ przynosi ciekawe rewelacye w sprawie zamordowania Rozy Luksemburg. Pochodzą one od byłego oficera niemieckiego, który w swoim czasie umknął z Niemiec do Sztokholmu, ponieważ należał do podejrzanych o udział w tem morderstwie.

Według świadectwa tego naocznego świadka, zasądzenie za ten mord huzar Ringe i porucznik Vogel odegrali

jedynie rolę kozłów ofiarnych. Prawdziwym sprawcą zbrodni był chorąży Hoffmann, syn znanego ze swej niebuńczucznej postawy w Brześciu Litewskim generała Hofmanna.

Zajście odbyć się miało w sposób następujący: Roza Luksenburg i Karol Liebknecht przywiezieni zostali dla przesłuchania automobilami do hotelu, w którym urzędował sztab dywizyjny. Chorąży Hofmann, stojący przed hotelem, poznał Rozę Luksemburg i natychmiast rzucił się na nią, zadając jej cios śmiertelny kolbą swego karabinu. Roza upadła bez jęku na ziemię, a wtedy martwe już ciało potrącił kapral Runge gwerem. Ponieważ jednak szefem owego dywizyjnego sądu był ojciec sprawcy, więc dla zatuszowania sprawy, zawleczono trupa do hotelu, a następnie przeniesiono go do dalszego transportu znowu do automobilu pod eskortą Vogla oraz spisującego te zajścia.

Podczas jazdy nie wydano ani jednego strzału, a szofer wiedział również, że wiezie trupa, to też przejeżdżając ponad kanałem, oświadczył: „Nie myślę wieźć tego ścierwa dalej", — poczem wrzucili obaj wraz z marynarzem Poppe zwłoki do kanału. Następnie automobil zawrócił. — Porucznik Vogel zatem podług tych rewelacyi został zasądzony zupełnie niewinnie i był podstawiony rozmyślnie przez przemożnego generała celem salwowania jego krewkiego synalka.

Ofiary strasznej katastrofy lotniczej.



Przed niedawnym czasem spadł na polach Rakowickich pod Krakowem aeroplan na oddział ćwiczących żołnierzy i zabił ich czterech na miejscu. Zwłoki tych nieszczęśliwych przedstawia nasza rycina.

„Czy chciałbyś, żeby się wojna skończyła i dlaczego?"

Patryotyzm dziecka polskiego. — Ciekawe obserwacye nauczyciela.

P. Franciszek Hilczer, nauczyciel we Wrocławku, opowiada o niespodziance, jaką mu sprawiły dzieci szkolne, gdy w styczniu 1918 polecił im napisać ćwiczenie na temat: „Czy chciałbyś, żeby się wojna skończyła i dlaczego". Dzieciom zostawił zupełną swobodę pisania, dodał tylko: „pisz to, co ci na myśl przyjdzie, pisz szczerą prawdę". Po 45 minutach ćwiczenia zebrał. To samo uczynili koledzy i koleżanki w szkołach swoich. P. N. rozporządza materyałem, zebranym od 504 dzieci. Z ciekawego i bogatego materyału wybrał odpowiedzi, dotyczące patryotyzmu dzieci. Zaznacza, że dzieci o Polsce pisały niejako nawiasowo, ubocznie, wszak można było odpowiedzieć na pytanie, nie wspominając o niepodległości Polski; tak też wiele dzieci zrobiło. Mimo to 42,4 proc. dzieci zupełnie samorzutnie żąda niezawisłości swej ojczyzny, a ujęły to w następujące zdania:

a) żeby Polska była sama w sobie 20,2 proc.; b) żeby była niepodległa, samodzielna, niezależna 10.6 proc.; żeby Polska była wolna i szczęśliwa 4,4 proc.; d) żeby jaknajprędzej wydostała się z niewoli 3,4 proc.; e) żeby Polska była oswobodzona 2,4 proc.; f) żeby wolność nastała na polskiej ziemi 1,4 proc.

Ani jedno na pół tysiąca dzieci nie wspomniało, że chce powrotu Rosyan i wojska rosyjskiego.

Pozatem 19,4 proc. uczniów i uczenic pragnie, żeby był król polski, 16,6 proc. — żeby było wojsko polskie, 15 proc. — żeby był polski rząd, 2 proc. — żeby były prawdziwe polskie pieniądze, a 0,4 proc. dzieci chce, żeby był w Polsce prezydent, jak to jest w Ameryce. Żadne, oczywiście, dziecko nie wyrażało obawy z powodu poboru do polskiej armii; przeciwnie 2—8 proc. chłopców pragnie służyć w polskiem wojsku.

Dzieci żywo odczuwają nieszczęścia, które na kraj nasz spadają; 43 proc. oburza się na Niemców za to, że dzwony zabierają, odłączenie Chełmszczyzny pobudziło ich do składek na „skarb narodowy", chętnie przynoszą datki w naturze i pieniądzach. — Nie było dziecka wśród 2.000 rzeszy, któreby się od daniny uchyliło.

Siwe włosy.

Włosy jako barometr zdrowia.

Mało dotychczas zwracano uwagi na fakt, że włosy człowieka są niejako wykładnikiem jego stanu zdrowotnego. Pewien znany lekarz angielski wskazuje na ten ścisły związek i omawia przy tem zjawisko nagłego osiwienia, towarzyszące gwałtownym wstrząśnieniom duchowym. „Osiwiał przez noc" nie jest bynajmniej li tylko czczym frazesem, wypadki takie zdarzają się, a w czasie wojny można je było nawet nierzadko zaobserwować. W ostatnich latach ludzie siwieli w gwałtownem tempie, cały szereg młodych jeszcze głów przyprószyło się szronem siwizny. Siwe włosy stały się nagle modne. Wiele kobiet dźwiga z dumą tę białą koronę cierpienia, którą im na skronie włożyła wojna, a fryzyerzy zapewniają, że niektóre z nich każą sobie malować włosy „na siwo". „Zupełnie młode kobiety, które nie przekroczyły jeszcze trzydziestki — opowiada jeden z fryzyerów londyńskiego „high-life'u" — posiwiały w ostatnich latach. Te panie nie chcą sobie farbować włosów, wolą bowiem obnosić swoją interesującą siwiznę i rzecz szczególna, znajdują naśladowczynie wśród innych kobiet, które też za pomocą sztucznych środków starają się swe blond lub czarne włosy przemalować na siwe".

Niejednokrotnie zaobserwowano, że ludzie nagle i gwałtownie posiwiali mogą odzyskać dawną barwę włosów. Pewna pani, której włosy zbielały na wiadomość o śmierci syna na polu bitwy, straciła później z powodu ciężkiej choroby całe prawie swoje owłosienie. Włosy odrosły i o dziwo! nie siwe, ale brunatne, tak, jak przedtem. U żołnierzy posiwiałych wskutek nerwowego „choc'u" wraca dawna barwa włosów, skoro uleczą się ze wstrząsu nerwów. U nerwowych ludzi cierpiących na silne bóle głowy, występują nici lub nawet całe pasma siwych włosów, które znikają, gdy ból głowy przejdzie. Takie siwe miejsca we włosach mogą stanowić dowód, że dana osoba cierpi na silny nerwowy ból głowy. W ten sposób włosy odgrywają poniekąd rolę barometru zdrowia. Naogół ze stanu, w jakim znajdują się włosy, można wywnioskować o zdrowiu człowieka.

Jak dawnym jest wynalazek szkła.

Podług starej opowieści Pliniusa, szkło zostało wynalezione przez Fenicyan, którzy pewnego razu podczas burzy morskiej zostali okrętami swoimi zapędzeni do ujścia rzeki Belus. —

Tamże Fenicyanie ze swych okrętów wysiedli i rozłożyli się obozem na piaskach rzeki Belus (która wpada do morza śródziemnego). Z powodu tego, że burza ciągle jeszcze szalała, postanowili Fenicyanie spędzić nad ujściem rzeki cały dzień, rozpalili ogniska i gotowali pożywienie. wtem z powodu gorąca topniał piasek i zamieniał się powoli na materyał szklisty. W ten sposób miało powstać pierwsze szkło (według podania Pliniusa).

Jednak badania wykazały, że długo przedtem szkło było już znanem. Wiele zabytków starożytnego Egiptu ze szkła znaleźli egyptologowie w Egipcie. Daty dokładnej, w którym roku przed Chrystusem, szkło zostało wynalezione, nie znamy, jednak z pozostałych hieroglifów na tabliczkach, skonstatowano, że szkło istnieje już przeszło lat 4000, a nawet 6000.

Król Nenes, który założył miasto Nenychis w r. 5000 przed Chrystusem znał szkło, najstarsze mumie Nemfisu noszą ozdoby ze szkła.

W grobach egipskich na ścianach widzimy też ozdoby ze szkła (szczególnie w Pakkarze) pochodzące z czasów piątej dynastyi, to znaczy z roku 3900 przed Chrystusem. Piramidy dokoła Memfisu zostały zbudowane w roku 2500 przed nar. Chr. i w tym właśnie czasie fabrykacya szkła w starożytnym Egipcie doszła do rozkwitu.

„Nieporozumienia“ czesko-polskie.

Niejednemu Polakowi, który pobieżnie przerzucał czeską gazetę lub książkę, albo też nieuważnie przysłuchiwał się rozmowie Czechów — wydaje się, że on doskonale po czesku rozumie.

Tymczasem mniemanie to jest błędne. Język polski wcale nie jest tak bliźniaczo do czeskiego podobny, jakby się to wydawać mogło. Podobieństwo jest raczej dźwiękowe, niż treściowe. Bardzo wiele słów o jednakowem brzmieniu w obu językach ma w rzeczywistości wręcz odmienne znaczenie.

Z tego powodu w rozmowach czesko-polskich mogą zachodzić zabawne nieporozumienia.

Jeden ze znajomych moich, który w pierwszym roku wojny przepędził jako uchodźca kilka miesięcy w stolicy Czech, opowiadał mi kilka przypadków takiego „słowiańskiego“ nieporozumienia:

— Wyobraź sobie, mój szwagier, jegomość leciwy już, ale dobrze zakonserwowany i bardzo elegancki, wchodzi do sklepu, aby kupić sobie nożyczki.

Z uprzejmym uśmiechem zwraca się do przystojnej panny sklepowej:

— Slecno, proszę mi pokazać nożyczki.

„Slecna“ otwiera szeroko oczy, cofa się o krok i z widocznem oburzeniem pyta:

— Co si milostpane przejete? (Czego sobie pan życzy?).

— Nic sobie nie przejem, tutaj przecież nie restauracya. Ja chcę obejrzeć nożyczki.

Czeszka odwraca się cała w płomieniach gniewu i woła szefa, aby ten skarcił zuchwałe zachowanie się klienta.

Po długich petraktacyach, okazało się, że „nożuczki“ czeskie — to polskie „nóżki“, a na odwrót czeski wyraz „nužki“ oznacza po polsku „nożyczki“.

Jeszcze lepiej powiodło się innemu Polakowi, który wszedł do sklepu z laskami i zapytał:

— Ile u pani kosztuje laska?

A „laska“ po czesku — to po polsku „miłość“.

Jeden z profesorów krakowskich został zaproszony wraz z żoną do swego praskiego kolegi na kolacyę.

Pani domu na zakończenie przyjęcia wystąpiła z przepysznym tortem.

— Ach! cóż to za zbytki w takich ciężkich czasach! — woła profesorowa — Polka.

Na twarzy Czeszki ukazuje się płomień rumieńca i grymas obrazy.

— Milost pani, to nejsou žadne zbytki, to je do cela czerstwe!

— Ale cóż pani mówi, że to czerstwe, — kiedy to zupełnie świeże — protestuje gość.

Nierozumienie kompletne.

Albowiem „zbytki“ po czesku — to resztki, odpadki, a „czerstwy“ to znaczy świeży.

— I tak — zakończył były uchodźca ze Złatej Prahy — nie można powiedzieć, abyśmy się z Czechami dobrze rozumieli.

Istotnie okazało się, że my się z Czechami wcale, ale to wcale porozumieć nie możemy i nie porozumiemy dopóki nie oddadzą nam naszej odwiecznej własności: Śląska Cieszyńskiego.

M. I. M.

HANNS HEINZ EWERS.

Zbiór guzików.

Przełożył Jan Sobota.

Mimi Knäller zrobiła kolosalną karyerę. Przed rokiem jeszcze była kelnerką w jednej z podrzędniejszych kawiarń, ale ponieważ napiwki mało jej przynosiły dochodu, musiała oglądnąć się za innem źródłem zysku. Cóż z tego, kiedy studenci i aktorzy sami tak mało posiadali! Wkrótce jednakże spotkało ją owo wielkie szczęście. Pewien podporucznik, opanowany szałem zazdrości — był pijany — wypalił do niej, w sali kawiarnianej, z rewolweru. Gdy w tejże chwili otrzeźwiał i pojął, co uczynił, drugą kulę wpakował sobie w głowę. Ta ostatnia trafiła celnie, Mimi bowiem ranioną została tylko lekko w ramię. Mimi, wiedziona szczęśliwym instynktem, rzuciła się, wyjąc, na ciało podporucznika, którego nagle szalenie pokochała. Również gdy zwłoki przewieziono na dworzec — musiano przecież coś z niemi zrobić — znalazła się tam i Mimi, spłakana, odziana w elegancki, czarny kostyum żałobny. Stanowczo nie można jej odmówić zdolności; na pocieszyciela nie długo czekała, zjawił się w osobie pięknego barona Hohenthala, który wprost z dworca zabrał ją ze sobą w małą „podróż poślubną“. Baron powrócił wkrótce, ale Mimi zjawiła się dopiero po roku, w Monachium.

Nie nazywała się już Mimi Knäller, lecz Mia le Fracas. Nie powróciła też sama, lecz w towarzystwie ciotki i francuskiej pokojówki, oraz pełnej kiesy pieniędzy. Była w Baden-Baden, w Interlaken i w Nizzy; stąd zabrała ją pewna „przyjaciółka“ z Tip-Top-Demimondu ze sobą do Paryża. Mia była rozrywana i wkrótce też wżyła się w obowiązki swego nowego stanowiska. Mała Monachijka różniła się w każdym kierunku od owych odwiecznych Angielek i Amerykanek, już w trzy miesiące po zjawieniu się w Bos, zazdrość wzbudzała w tamtejszym świecie kobiecym, niezwykłym kształtem kapelusza. A mimo to pragnęła powrócić nad Izarę i wkrótce znalazła w jednym z attache niemieckiego poselstwa protektora, który jej tę sprawę ułatwił.

Mia le Fracas posiadała prześliczną willę przy ulicy Keita. Prowadziła dom otwarty: oficerowie, artyści, prawnicy, literaci bywali u niej, tylko o studentach nawet słyszeć nie chciała. Mia była zachwycająca. Protegowała młodych malarzy, urządzała literackie i muzykalne wieczory, a prócz tego odwiedzały ją często urocze „przyjaciółki“ z Paryża i Nowego Jorku. Portret jej był najlepszy w Secesyi, samochód najszybszy w całej Bawaryi. Od czasów Loli Montez nie mówiono w Monachium tak wiele o żadnej kobiecie. Ulicznicy rozprawiali o jej podróżach, każda piękność ulicy Keita znała jej wspaniałe toalety; kelnerki powtarzały sobie anegdotki i żarciki o Mii, a każdy Monachijczyk uważał za swój obowiązek znać dokładnie wszystkie zakamarki jej willi, oraz — jej serca.

Ale o jednej rzeczy nikt inny nie wie, prócz mnie samego; a ponieważ nie chcę Monachijczyków zbytnio rozciekawiać, natychmiast tajemnicę ową wyjawię.

Mia ma zbiór guzików.

Znam pewną Aspazyę we Florencyi, która każdemu ze swych kochan-

ków obcinała pukiel włosów. Miała brunatne, czarne, złote i białe, jak śnieg. Inna piękność, mieszkająca w Berlinie, ma pełną szkatułę monet z różnych krajów, a na każdej z nich wyryta litera. Czarna Ellen Brunkhorst, która obecnie jest właścicielką wielkiego variete w Amsterdamie, posiada ogromną szafę, pełną chustek do nosa. Z grubego płótna i miękkie, batystowe, oraz jedwabne. U największej części z nich są monogramy, niektóre zdobne herbami i koronami o siedmiu lub dziewięciu pałkach.

Mia jednakże nie zbierała ani pukli włosów, ani monet, ani też chustek do nosa, ona — jest właścicielką wielkiego zbioru guzików.

Żaden z jej kochanków nie wie o tem, gdyż nie prosi nikogo o guzik, lecz kradnie go poprostu od ubrania przyjaciela.

Niegdyś czyniła to sama, dziś, w zastępstwie zajmuje się tem Suzon, jej pokojówka.

I od niej posiadam tę tajemnicę. Urodziła się na Montmartre; znałem ją jeszcze dzieckiem w owych czasach, gdy przed budynkiem naszego kabaretu sprzedawała bukiety fiołków. I ja też jestem jedynym z pomiędzy wszystkich gości Mii, któremu wyjawiła tą tajemnicę. —

Stało się to w ten sposób.

Wczoraj chciałem wypić filiżankę kawy u Mii, lecz spóźniłem się nieco: całe towarzystwo bowiem wyjechało już na przechadzkę, na łąkę Teresy.

Byłem zły i klałem.

Wtem zawołała Suzon:

— Si vous etes bien gentil, je vous dirai quelque chose!

— Qui donc?

Śmiała się: „Ah le secret, le secret!“

I zaciągnęła mnie do buduaru swej pani.

Otworzyła szafę, wyciągnęła szufladę i wyjęła z niej kasetkę.

— Madame, a oublie la clef-tiens la, tiens la!

Trzęsła się ze śmiechu.

Otworzyłem. Ujrzałem wielką ilość owalnych wycinków z tektury, obszytych czerwonym, niebieskim, żółtym i zielonym aksamitem. A do każdego starannie przyszyty był guzik od ubrania.

Wyjąłem jeden z nich: „For gentlemen“ czytałem, napewno należał do kelnera. Na drugim błyszczał napis „I. W. A. L. i M. Z. N. O.“ Aha! Intendantura wojsk armii lądowej i morskiej, zespół niemieckich oficerów — a więc jakiś porucznieczek. Następny guzik z rogu napewne stanowił własność studenta! „Gabriel Schöllhorn“ pierwszorzędny krawiec w Monachium, a więc bankier! Na brudnym, metalowym guziku, skromnie błyszczały słowa: „Fritz Blasberg, krawiec, Telborn w B.“ — właściciel dóbr z Marchii i hrabia — guzik ten miał tę samą wadliwość, co chustki do nosa z koroną Ellen Brunkhorst. — „Made in Germany“ brzmiała dewiza dalszego, napewne jakiś syn Albionu.

W końcu natrafiłem na guzik, który znałem.

— Voyez, le votre — śmiała się Suzon.

Br! — wstydziłem się mego skromnego guzika, pośród tyłu — nie chcę być niedyskretny — nie powiem tedy, ile ich tam było, lecz...

„My sem tady.“

Jest żartobliwe podanie, że gdy Kolumb wylądował z ludźmi swymi po raz pierwszy w Ameryce i podziwiał nieznane dotychczas okazy podzwrotnikowej flory i Fauny, ujrzał na szczycie jakiejś palmy gromadę małp ogoniastych. Jedna z nich wychyliła się z za gałązki i zawołała w czysto czeskim dyalekcie: *Servus panie Kolumbus, my sem tady!*

Czech się wszędzie wkręci, wszędzie się wśliźnie, a gdzie raz postawi swe olbrzymie płaskie nogi — uważa ten szmat ziemi za swoją własność i upiera się przy niej rękami i nogami, zębami i pazurami.

Z ciekawym tym okazem spotykaliśmy się już dawno, zwłaszcza w operetkach i karykaturach pism humorystycznych. Ostatnimi czasy w drapieżnych swych wędrówkach podszedł Czech bliżej granic naszego kraju. To też nie od rzeczy będzie przypatrzeć się temu zoologicznemu wybrykowi natury.

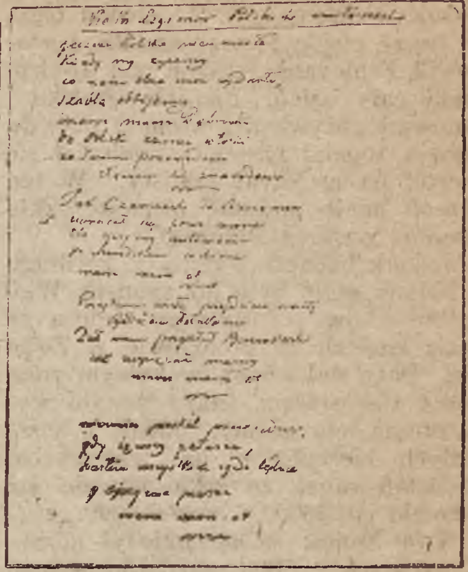
Czech jest bardzo podobny do człowieka. Składa się on z głowy, tułowia i tylko jednej pary odnoża, gdyż przednia para nóg wykształciła się z czasem — w ręce. Na głowie spostrzegamy twarz o wytartem czole, a pod spodem nos specyalnie na użytek skonstruowany t. zw. „czeski nos“. Po obu stronach nosa posiada Czech oczy, które mają tę właściwość, że patrzą do cudzej kieszeni. Ma także uszy, które słyszą, jak trawa rośnie i co się mówi za zamkniętemi drzwiami. Ręce Czech ma długie, a palce nadające się do wytrycha i smyczka.

Czeszki są przeważnie mamkami i dopiero potem wychodzą za mąż. Mogą być także kucharkami lub szansonistkami, ale wtedy nazywają się „wiedenkami“.

Czech żywi się wszystkiem, co się da zjeść. Ulubionem jego pożywieniem są knedle ze śliwkami, ale także lubi śląski węgiel. Zdaje się, że ta ostatnia strawa nie wyjdzie mu na dobre.

Kruk.

Autograf „Jeszcze Polska nie zginęła“.



W dziele prof. H. Wodzickiego znajdujemy autograf naszego hymnu Narodowego „Jeszcze Polska nie zginęła“, który tutaj reprodukujemy.

Twórca pieśni Legionów Józef Wybicki w połowie roku 1797, gdy formacya Legii polskich stała się po przezwyciężeniu wielu trudności faktem dokonanym, udał się do Włoch, gdzie w głównej kwaterze Dąbrowskiego zajmował się układaniem memoryałów, odezw i proklamacyi. Z tego też czasu pochodzi ów słynny mazurek, — nieśmiertelne dzieło Wybickiego... Pieśń ta za czyn starczyła, w istocie swej wielki i niespożyty.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

11 (Ciąg dalszy).

— Idź pan za tym panem — rzekł Villefort do Dantes'a.

Dantes skłonił się, rzucił ostatnie spojrzenie wdzięczności na Villefort'a i wyszedł. Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, siły opuściły do reszty Villefort'a i upadł omdlały prawie na krzesło. Po dobrej pauzie, przemówił znowu:

— Ach Boże wielki! od czego zależą, los i życie? Gdyby prokurator królewski był obecny w Marsylii, gdyby przywołano zamiast mnie, sędziego instrukcyjnego byłbym zgubiony, a ten list, ten list fatalny, pogrążyłby mnie w przepaść. Ach ojcze mój, czyż zawsze będziesz na zawadzie mojemu szczęściu na tej ziemi? mamże wieczną toczyć walkę z twoją przeszłością?

Nagle jakby światło niespodziane zabłysło w jego głowie i oświeciło twarz jego; uśmiech złamał te usta dotąd zaciśnięte, oko błędne, przybrało wyraz stały, jakby cel ujrzało, zdając się jakąś myśl rozpatrywać.

— Tak — rzecze — tak jest, ten sam list, co mnie miał zgubić, otworzy mi może drogę do losu. Dalej Villefort, do dzieła!

I przekonawszy się, że obwiniony oddalił się już z przedpokoju, wyszedł podprokurator królewski co żywiej i skierował drogę ku domowi swej narzeczonej.

Zamek If.

Przechodząc przez przedpokój, komisarz policyi skinął na żandarmów i wnet otoczyli z jednej i drugiej strony Dantesa; otwarły się drzwi prowadzące z pomieszkania prokuratora królewskiego do gmachu sądowego i weszli na drugi korytarz przejmujący dreszczem tych, co po nim przechodzą, choćby się wcale nie czuli winnymi.

Podobnie jak mieszkanie Villefort'a łączyło się z gmachem sądowym, tak gmach sądowy łączył się z więzieniem, tem smutnem godłem sprawiedliwości. Po licznych zwrotach i zakrętach w korytarzu, ujrzał nakoniec Dantes drzwi na rygiel zamknięte; komisarz policyi po trzykroć uderzył w nie żelaznym młotkiem, co tak zabrzmiało Dantesowi, jakby te uderzenia spadały na serce; drzwi się otworzyły, dwaj żandarmi popchnęli zlekka wahającego się więźnia. Przestąpił ten próg straszliwy i drzwi z łoskotem same się zatrzasnęły za nim. Inne, wilgotne i ciężkie objęło go powietrze; już był w więzieniu.

Wprowadzono go do pokoju dość czystego, ale kratami i ryglami opatrzonego. Z pozoru swego schludnego pokoiku, nie wnosił on jeszcze smutnych bardzo dla siebie następstw. Wreszcie, słowa podprokuratora królewskiego, wyrzeczone głosem jak się zdawało pełnym dobroci i zajęcia, brzmiały w uchu Dantesa dźwiękiem słodkiej obietnicy i nadziei. Już cztery godziny upłynęło, jak go wprowadzono do tego pokoiku. Było to, jakeśmy już wspomnieli, pierwszego marca, dzień szybko zapadał i wkrótce więzień nasz ujrzał się otoczony mrokiem nocy. Wówczas zmysł słuchu wzmógł się kosztem wzroku nagle gasnącego. Na najmniejszy szmer zewnątrz dochodzący, w przekonaniu, że już go idą uwolnić, powstawał nagle i zbliżał się do drzwi. Wkrótce jednak szmer niknął w innym kierunku, a Dantes wracał na miejsce.

Nakoniec, wieczorem, około godziny dziesiątej, gdy Dantes tracił już wszelką adzieję, rozległ się na nowo szmer, który zdawał się tym razem przybliżać ku drzwiom jego. W rzeczy samej, odgłos stąpania zabrzmiał w korytarzach i zatrzymał się przede drzwiami. Zakręcono kluczem w zamku, rygle skrzypnęły i otwarła się ta olbrzymia z żelaza zapora i światło oślepiające dwóch pochodni, nagle przedarło się do pokoju. Przy świetle tych pochodni, Dantes zobaczył połysk pałaszów i kaszkietów czterech żandarmów. Postąpił dwa kroki naprzód i stanął jak nieruchomy, wpatrując się w tę przemoc siły zbrojnej.

— Czyście po mnie przyszli? — zapytał Dantes.

— Tak jest — odpowiedział jeden z żandarmów.

— Od pana podprokuratora królewskiego?

— A rozumie się.

— Dobrze — rzecze Dantes — jestem gotów, idę za wami.

Przekonanie to, że przyszli na rozkaz p. Villefort'a, odejmowało wszelką trwogę nieszczęśliwemu młodzieńcowi. Postąpił więc swobodnym krokiem i spokojnie sam stanął pośrodku swej straży. Powóz czekał we drzwiach samych przy wyjściu, woźnica na koźle, a obok niego urzędnik policyjny.

— Czy to dla mnie ten powóz? — zapytał Dantes.

— Dla pana — odpowiedział żandarm — siadaj pan.

Dantes chciał jeszcze coś mówić, ale drzwiczki się otworzyły i uczuł, że go popchnięto do powozu. Ani mógł, ani był w stanie oprzeć się. W momencie ujrzał się posadzonym pomiędzy dwoma żandarmami, dwaj inni usiedli na przodzie powozu i ciężka machina puściła się w drogę, łoskocząc posępnym, głuchym turkotem. Więzień spojrzał przez otwory zakratowane i poznał, że tylko miejsce więzienia jego zmieniło się o tyle, że teraźniejsze toczyło się i huczało i tocząc, unosiło go w stronę dotąd nieznaną. Z poza krat gęsto skrzyżowanych, tak, że ręki nie podobna było przecisnąć, Dantes rozpoznał, że przebywali ulicę Caisserie, Saint-Laurent i spuszczali się po Tamaris. Przez kraty powozu i kraty gmachu, około którego się znajdowali, zabłysło światło odwachu. Powóz zatrzymał się, urzędnik policyjny wysiadł i postąpił ku odwachowi: dwunastu żołnierzy natychmiast wyszło i uszykowało się w szpaler. Przy świetle latarń ujrzał Dantes połysk bagnetów. Czyliżto dla mnie, sam siebie zapytał, rozwijają tyle siły zbrojnej?

Urzędnik policyjny otwierając drzwiczki na klucz zamknięte, chociaż ani słowa nie wymówił, odpowiedział wyraźnie na to nieme pytanie, wskazując ścieżkę pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy, zrobioną dlań od powozu do drzwi. Naprzód wysiedli dwaj żandarmi, co na przodzie znajdowali się w powozie, potem kazano wysiąść więźniowi, nakoniec ci, co razem z nim siedzieli po obu stronach, udali się za nim. Zwrócili się następnie ku łódce, którą w zatoce utrzymywał jakiś szyper z komory. Żołnierze przypatrywali się przechodzącemu Dantesowi z wyrazem głupowatej ciekawości. W jednej chwili znalazł się obsadzonym na tylnej części statku, zawsze otoczony swoimi czterema żandarmami, z przodu usiadł urzędnik policyjny. Nagłe wstrząśnienie odepchnęło statek od brzegu i czterech przewoźników zaczęło już robić wiosłami. Na znak dany z łodzi, łańcuch zamykający port opadł i Dantes ujrzał się w końcu za portem na pełnem morzu. Gdy więzień uczuł się znowu na otwartem powietrzu, serce jego zajęło jakieś mimowolne uczucie radości. Powietrze, to już jest prawie wolność. Odetchnął całą piersią tem świeżem wiatru powiewem, co na skrzydłach swoich przynosi nieznane wonie nocy i morza. Wkrótce jednak westchnął ciężko, przepływał bowiem w blizkości tych miejsc, gdzie rano jeszcze był tak szczęśliwy, na godzinę nawet przed aresztowaniem, zkąd teraz

z otwartych okien rzęsisto w głębi oświeconego salonu, dochodziła go wesoła wrzawa zabawy. Dantes złożył ręce, wzniósł oczy do nieba i modlił się. Łódź płynęła i płynęła; minęła już tak nazwaną Tete de More i dalej małą przystań Faro.

— I gdzież mię wieziecie? zapytał Dantes.

— Dowiesz się natychmiast.

— Ale przecież... — Nie wolno nam mówić.

Dantes był sam prawie żołnierzem, pytać podwładnych, którym nie wolno na nic odpowiadać, uważał za rzecz nierozsądną, umilkł więc.

Najdziwniejsze myśli zaczęły mu się snuć po głowie. Ponieważ tak małą łódką nie można odbyć długiej drogi, a nie widać było żadnego statku na kotwicy, ku któremuby zmierzali, myślał więc, że go wywożą na jakiś oddalony punkt brzegu i potem puszczą wolnym; nie był wcale przywiązany, nie okazywano nawet chęci lub zamiaru okucia go w kajdany, co wszystko zdawało się robić mu dobre nadzieje; wreszcie podprokurator, człowiek najzacniejszy, polecił mu tylko i zapewnił, iż byle nie wymienił fatalnego owego nazwiska Noirtier, może być spokojnym i bezpiecznym; ten sam prokurator w jegoż przecie przytomności zniszczył ten list niebezpieczny, jedyny przeciw niemu świadczący dowód; oczekiwał tedy końca w niemem zamyśleniu, usiłując przebić swem wyćwiczonem, żeglarskiem okiem, mgły i ciemności nocy. Minęli już na prawo wyspę Rotanneau, gdzie się paliła latarnia i tak wzdłuż brzegu płynąc, przybyli do wyniosłości wzgórza Katalończyków. Tu wzrok więźnia podwoił natężenie, ujrzał miejsce gdzie przebywa Mercedes i w te jchwili zdało mu się, iż widzi rysujący się cieniem na brzegu niewyraźny kształt kobiety. Czyliż przeczucie nie mówiło tej Mercedes, iż jej kochanek tylko o trzysta kroków od niej znajduje się, tak mówił sam do siebie Dantes.

Na wzgórzu Katalończyków jedno tylko gorzało światełko. Po bliższem wpatrzeniu się i porównaniu położenia poznał Dantes, że to światełko pochodziło z pokoju jego narzeczonej. Jedna Mercedes na całej przestrzeni czuwała. Krzyk silny młodzieńca mógłby dojść do jej uszu, ale wstyd fałszywy powstrzymał go. Coby pomyśleli strzegący go ludzie, posłyszawszy krzyk jego jakby szalonego; nie otworzył więc ust nawet, wzrok tylko w ten punkt światła wytężył. Łódź płynęła i płynęła dalej, więzień nie myślał o łodzi i drodze, ale myślał o Mercedes. Jakiś miejscowy wypadek zakrył mu nagle to światło. Dantes obrócił się i spostrzegł, iż wypływają na pełne morze. W czasie tych głębokich rozmyślań i zatapiania wzroku, przywiązano żagle do wioseł, i łódź płynęła już teraz wiatrem pędzona. Pomimo wstrętu jakiego Dantes doświadczał z wypytywania żandarma, zbliżył się jednak do jednego i biorąc go za rękę rzekł:

— Bracie, zaklinam cię na sumienie, jesteś żołnierz prawy, miej litość nademną i odpowiadaj mi; jestem kapitan Dantes dobry i prawy Francuz, lubo oskarżono mnie o jakąś zdradę; powiedz, gdzie mnie wieziecie, powiedz, ręczę ci honorem marynarza, że się zastosuję do mego położenia i poddam się losowi.

Żandarm podrapał się w głowę, spojrzał na towarzysza jakby go pytał, co ma odpowiedzieć, i poruszenie odpowiadające zdawało się wyrażać, iż w tym razie i w tym punkcie, gdzie dopłynęli, nie ma co długo zachowywać tajemnicy; zwrócił się więc do Dantesa i rzekł:

— Jesteś Marsylczykiem i marynarzem, a pytasz mnie, gdzie płyniemy?

— Tak jest, pytam, bo na honor nie wiem.

— I nie domyślasz się nawet?

— Zupełnie nie.

— To nie podobna!

— Przysięgam ci na wszystko, co mam najświętszego w świecie. Odpowiadaj mi więc przez litość.

— A coby straż na to powiedziała?

— Straż nie może ci zabronić powiedzieć mi to, o czem za dziesięć minut sam będę wiedział, wreszcie za pół godziny, za godzinę najdalej, oszczędziłbyś mi tylko wieków niepewności i obawy. Proszę cię o to jak przyjaciela, patrzaj-że, czyż ja mogę mieć zamiar wybić się z pod straży i uciec, nie ma podobieństwa. Gdzież więc płyniemy?

— Albo masz oczy związane, albo też nigdy nie wychodziłeś z portu marsylskiego, przecież mógłbyś przynajmniej odgadnąć.

— Nie zgaduję.

— Obejrzyj się więc w koło siebie, może poznasz?

Dantes powstał, rzucił naturalnie wzrokiem w stronę, gdzie się statek kierował i ujrzał o sto sążni przed sobą wyniosłą, czarną i straszną skałę, na której wznosił się posępnie Zamek If. Kształt dziwaczny, więzienie, w koło którego groza zajęła panowanie. Twierdza w której od lat trzystu Marsylia przechowuje najsmutniejsze podania, nagle ukazała się oczom Dantesa, który ani pomyślał o niej, obudziło to w nim takie wrażenie, jak widok rusztowania na skazanym na śmierć winowajcy.

— Ah Boże mój, Boże! zawołał, to zamek If! i pocóż my tam płyniemy? (Żandarm uśmiechnął się). Przecież niepodobna, aby tam miano mię uwięzić. Zamek If jest więzieniem stanu, przeznaczonym jedynie dla winowajców politycznych. Jam nie popełnił żadnego występku. Czy są tam w zamku tym sędziowie instrukcyjni, urzędnicy jacy?

— Jak mi się zdaje, nie masz wcale, odpowie żandarm; jest tylko dowódzca czyli komendant, dozorcy więzienia, garnizon i tęgiej grubości i wysokości mury. No, no — mój bracie, nie udawaj tak bardzo zdziwionego, bo w istocie, gotówbym pomyśleć, że mi grzeczność moję odpłacasz szyderstwem.

Dantes ścisnął żandarma za rękę.

— Sądzisz więc, że mnie mają zamiar uwięzić w zamku If?

— To bardzo być może, rzekł żandarm, ale na wszelki wypadek nie masz potrzeby tak mocno ściskać mnie za rękę.

— Bez żadnych poprzednich objaśnień i formalności?

— I formalności dopełnione i objaśnienia dane.

— Pomimo więc obietnicy pana Villefort...

— Ja tam nie wiem, czy ci pan Villefort przyrzekł co lub nie, rzecze żandarm, to tylko wiem, że płyniemy do zamku If! Co to jest! przez Boga żywego, bracie, co robisz, hola!

Jednem nagłem poruszeniem jak błyskawica, które wprawne oko żandarma przewidziało, Dantes chciał skoczyć w morze, ale cztery potężne kułaki wstrzymały go w chwili, gdy jedną nogę już był wysadził z łodzi i upadł wgłąb łodzi ze wściekłości jękiem.

— Dobrze, zawołał żandarm gniotąc go kolanami w piersi, dobrze, to mi dotrzymasz marsylskiego słowa honoru? Spuśćże się tu teraz na grzeczność, albo bądź grzecznym! Oho! teraz bratku, tylko się rusz, raz jeden porusz a wpakuję ci niezawodnie kulę w łeb. Powinienem był to odrazu zrobić, ale ręczę ci, że za drugim razem nie zaniedbam.

I wymierzył w rzeczy samej karabin swój do Dantesa, a zimne jak lód żelazo do skroni przyłożone, dreszczem śmiertelnym go przejęło.

HUMOR i SATYRA.

W wagonie.

Do jednego z przedziałów pociągu zdążającego do Wiednia, wsiadła niedawno jakaś para małżeńska. Zaledwie zajęli miejsca, ona zwróciła się do niego z zapytaniem:

— Gdzie położyłeś nasze rzeczy?

— Wszak widzisz, leżą w porządku na siatce.

— Czy drzwi w domu dobrze zamknąłeś? — brzmi w pół minuty później następne pytanie.

— Doskonale, na dwa spusty!

— Czemu ten pociąg tak wolno jedzie? — pyta dalej niezmordowana niewiasta.

— Nie wiem! Na drugi raz pojedziemy pospiesznym — brzmi odpowiedz lekko już zdenerwowanego męża.

— Czemu się nie ogoliłeś?

— Od dzisiaj będę się golił dwa razy dziennie!

— Czy oddałeś klucz od mieszkanie ciotce Teresie?

— Oddałem — odparł spokojnie zapytany, lecz zdenerwowany zapytaniami, zerwał się z miejsca.

— Gdzie idziesz? — pyta go z niepokojem.

— Idę pociągnąć za sygnał alarmowy, gdyż inaczej stanie się nieszczęście!

Podobno od tej chwili miał już zupełny spokój!

* * *

Sprytna Marysia.

Pani: — Kupisz, Marysiu, na targu kurę i z jednej połowy zrobisz dzisiaj dla pana potrawkę, a drugą zostawisz na jutro.

Służąca: — Dobrze, proszę pani.

Pani: — Cóż tak dumasz nad tą kurą Marysiu?

Służąca: — A bo nie wiem, proszę pani, jak zabić jej połowę.

* * *

Nowy sposób zarobkowania.

— Cóż teraz robisz?

— Zarabiam na życie pisaniem.

— Do jakiego dziennika pisujesz?

— Do żadnego; pisuję tylko dwa razy co miesiąc do mego ojca po pieniądze.

* * *

Na ulicy.

Pijany: Przepraszam, czy panienka nie wie, gdzie mieszka Jan Walczak?

Służąca: Przecież to sam pan jesteś.

* * *

Także przyczyna.

Prezydent sądu: Zostałeś zasądzony na karę śmierci przez powieszenie.

Za godzinę wyrok będzie wykonany!

Zbrodniarz: Panie sędzio, a nie możnaby to odłożyć na jutro? Ja dziś mam szalony ból głowy, nie wiem, co się ze mną dzieje!...

* * *

W winiarni.

Syn: Tate — czy nie za drogo litr wina sprzedawać po 40 koron?

Ojciec: Bądź spokojny — nasz litr, to nie jest cały litr, a nasze wino — nu — to nie jest wcale wino.

* * *

Fatalne omyłki druku.

Ze sprawozdania: Wvborv ukończone. Glista magistracka przeszła w całości.

Z mowy: Na widok twói, zacny obywatelu, serca nasze raźniej nić .aczvnaja.

Z recenzyi: Na ostatnim koncercie widzieliśmy całą macę naszego towarzystwa.

Z powieści: Panna Kazia miała ślicznv ośli nosek.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Radzisław Krajewski. Poezye przesłane nie nadają się do „Życia i powieści“.

Ne oddamy Teszen, ne oddamy ho...



Czeskim grajkom wydaje się, że zadomowili się już na dobre na Śląsku Cieszyńskim i pieją tryumfy z tego powodu w swej prasie. Kochani nasi „przyjaciele“ mylą się jednak, wcześniej czy później wyrzucimy tych przybłędów z naszej ziemi.

* * *

Redaktor odpowiedzialny: M. J. Migo. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść“.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.